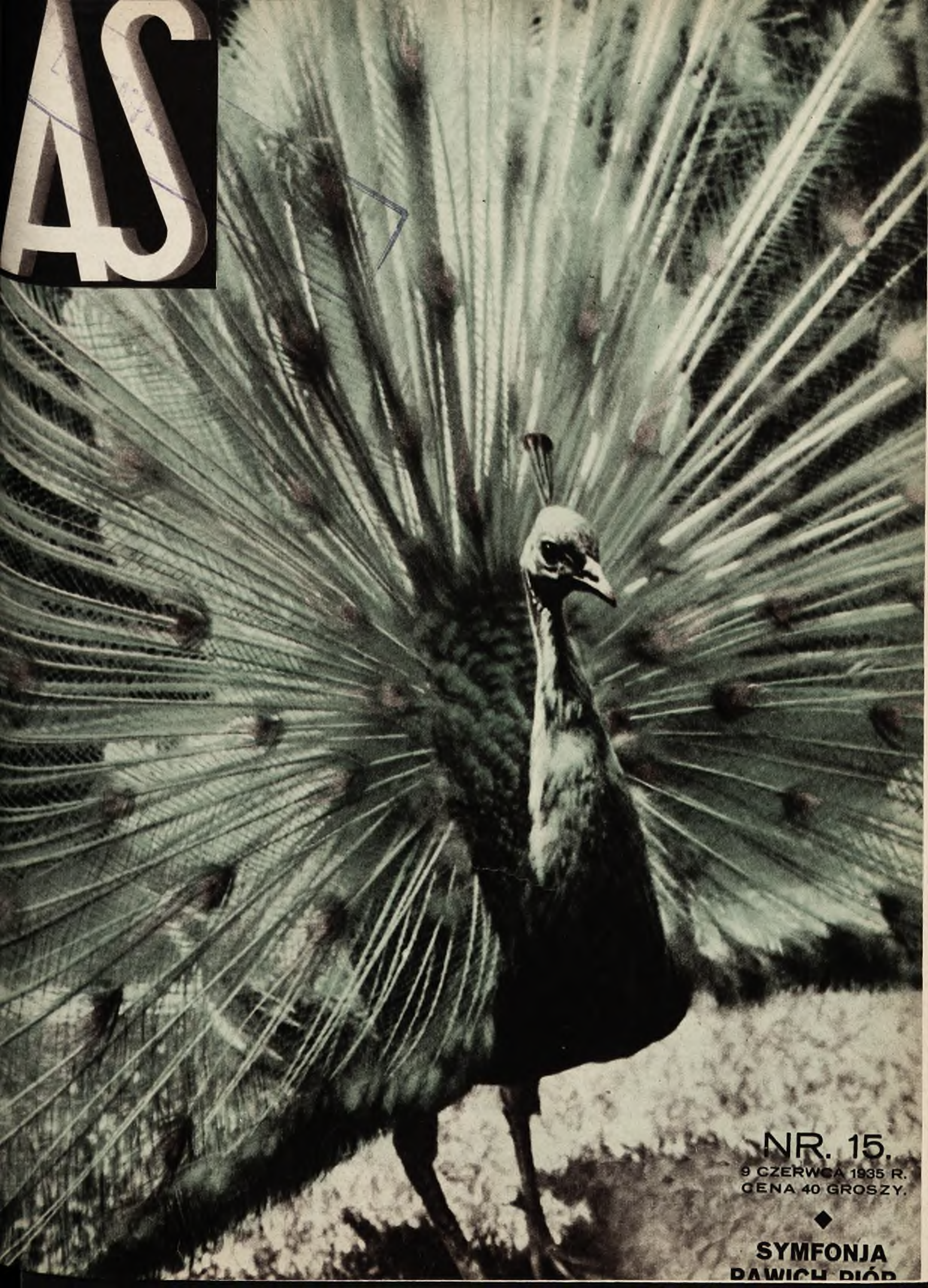

AS
NR. 15.
9 CZERWCA 1935 R.
CENA 40 GROSZY.
SYMFONJA

NASZ WIELKI KONKURS

NA

NAJPIĘKNIEJSZY UŚMIECH.

W niniejszym numerze zamieszczamy dalszą serję nadesłanych „uśmiechów" i prosimy Czytelników „Asa" o nadsyłanie nam swych głosów z dołączeniem kuponu, który znajduje się na stronie 30.

Zaznaczamy, że zdjęcia, które jury nie zakwalifikowało jako zdatne do wzięcia udziału w konkursie, nie będą odsyłane w wypadku nieotrzymania przez redakcję opłaty pocztowej.













I. L. Krahelski — Katowice. II. H. S. — Kościan. III. Basia Bittnerówna — Lwów. IV. „Aneri" — Gostyń V. Ilka Arwi — Poznań. VI. Irena Brodówna — Toruń.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ

KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.

KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). – TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66

KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.



ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600. Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor, prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 15 **Niedziela 9 czerwca 1935** **Rok I**

ASY NUMERU 15-GO:

Z okazji Wystawy Elektrotechnicznej w Bydgoszczy, piękniejsze objekty miasta są wieczorem bogato iluminowane. Ogólny zachwyt wywołuje iluminacja barwna jazów i wysepki na Brdzie przy moście gdańskim. Na zdjęciu: Wysepka i jaz, tonący w powodzi świateł kolorowych, na drugim planie zaś widoczny kościół farny, oświetlony reflektorami.

22.7. 1969 roku. Apollo-11 U.S.A.

LUDZIE NA KSIĘŻYCU.



Start rakiety inż. Tillinga w dniu 13. XI. 1932.

Coraz ciaśniej poczyna być człowiekowi na ziemi. Zna ją dokładnie wszerz i wzdłuż, przemierzył dalekie oceany, wdarł się na najwyższe szczyty górskie, przewędrował stepy, puszcze i pustynie. Już niewiele białych plamek na globie ziemskim oznacza miejsca, do których nie dotarł zwycięski człowiek. Ziemia zaczyna być mała. Zmniejszyła ją znacznie chyżość naszych środków lokomocji. Pociągi pospieszne, samochody, szybko mknące kolosy transoceaniczne, a wreszcie samoloty podwyższające z dnia na dzień rekordy szybkości lotu, umożliwiły człowiekowi przebywanie dalekich przestrzeni w bardzo krótkim czasie.

A ponadto, ziemia została upowszechniona, zna ją dziś każdy mniej więcej lub dokładnie z opisów, ze zdjęć fotograficznych, oraz ze wspaniałych fotografij filmowych, wyświetlanych w kinoteatrach na całym globie.

Już dziś dalekie kraje nie mają tej siły atrakcyjnej, jaką przedstawiały lat jeszcze temu pięćdziesiąt. Zbliżyły się ku nam i są nam dostępne, jeśli już nie bezpośrednio, to pośrednio.

Ziemia poczyna być ciasna i szara. Człowiek party naprzód, żyjącą w nim i panującą w nim żądzą zdobywania, szuka nowych terenów. Coraz częściej podnosi oczy na gwiazdy i coraz lepszemi instrumentami astronomicznemi obserwuje kosmos, usiany miljardami światów, o wiele większych aniżeli znikomy pyłek ziemski, zagubiony w sytemie słonecznym, a zwaną starą Ziemią.

Jest w każdej epoce dziejów ludzkich przeczucie czasów, które idą. Budzi się w duszach ludzkich wola czynu, uzewnętrzniająca się w dziełach, które w danej chwili mają raczej znaczenie symboliczne, aniżeli praktyczne. Uzewnętrznia się ta wola w poglądzie na świat i człowieka, uzewnętrznia się także w ustosunkowaniu się człowieka do otaczającego go kosmosu.

Tak było zawsze.

Kiedyś ta odwieczna żądza szukania nowych prawd i nowych dróg wyraziła się w obaleniu poglądów starego Ptolomeusza, mówiącego o płaskim kręgu ziemi, pływającym po oceanach i nadała ziemi kształt kulisty. Po tej prawdzie, która jeszcze w tym czasie nie była prawdą realną dla szerokich mas, a była jedynie wielce prawdopodobną teorją uczonych, nastąpiły czyny.

Poczęto szukać drogi morskiej do Indyj, drogi, która wiodąc z Europy na zachód, doszłaby do Indyj od wschodu. Ten pogląd teoretyczny zrealizowany praktycznie przez Kolumba, doprowadził do odkrycia Ameryki, a potem do słynnej włóczęgi Magellana, który opłynąwszy ziemię dokoła, potwierdził realnie dawniej wygłoszoną prawdę o kulistości ziemi.

Potem przyszły inne pragnienia i dążenia podświadome ludzkości, wyrażające się w próbach tworzenia robotów, legendarnych „golemów", któreby podjęły za ludzi jarzmo ciężkiej pracy. Potem znów powstawały fantastyczne opowieści o ognistych smokach ciągnących z zawrotną chyżością wozy, o latających dywanach, czy potężnych ptakach, przenoszącyh ludzi z miejsca na miejsce.

A te tęsknoty, zawarte w tworach, zrodzonych z bujnej fantazji ludzkiej, rychło doczekały się realizacji, przerastającej o całe niebo fantazję duchowych swych twórców.

Przyszła epoka motorów termodynamicznych; lokomotywy, motorów benzynowych i ropnych. Przyszedł potem największy cud współczesny — elektryczność, wyrażający się w tysiącach urządzeń, o których jeszcze przed dziesiątkami lat nikt nie marzył.

Człowiek powoli rozszerzał zakres swojego działania, doskonalił przy pomocy narzędzi swe zmysły i narządy. Stał się dziś najwrażliwszym i najlepiej działającym organizmem pod słońcem. Wszakże w chwili obecnej głos wypowiedziany przed puszką mikrofonową na antypodach, jest niemal w tej samej chwili słyszalny u nas, — wszakże niedługo już będziemy widzieli zdarzenia rozgrywające się po drugiej stronie globu.

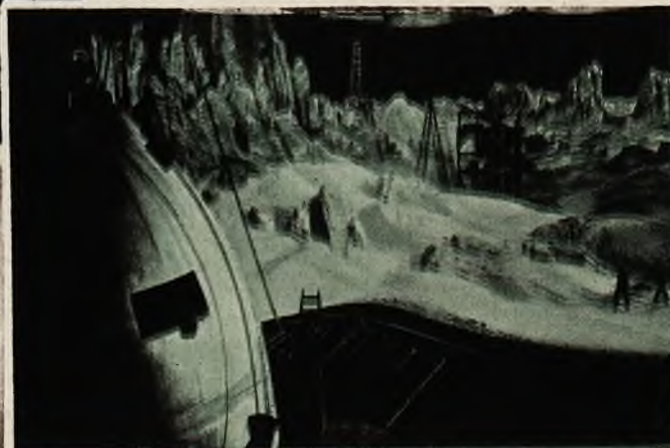
Ale to rozszerzanie zakresu działania człowieka na ziemi, nie zabiło w duszy ludzkiej tęsknoty za przestrzenią, za nową wielką przygodą i za nową prawdą. Twórcza wola ludzka wybiega poza okręg ziemi i szuka już dziś dróg, po których pójdą pokolenia na zdobywanie nowych, dalekich światów.

Narazie robi to fantazja. Narazie pisał o tem genjalny Verne, widział te nowe pokolenia Żuławski na srebrnym globie. Narazie dyskutują bardzo „po akademicku" nad możliwościami uczeni, zastanawiając się teoretycznie nad sposobami przeniesienia człowieka z globu ziemskiego na globy inne.

Mówi się o tem w pracowniach astronomicznych w pogodne noce, gdy niebo lśni



Model rakiety międzyplanetarnej, jaką widzieliśmy w filmie „Kobieta na księżycu".



Fantastyczny krajobraz księżycowy, stworzony w atelier filmowem.

złotemi ćwiekami gwiazd. Mówi się o tem w pracowniach fizycznych przy rozważaniu przeróżnych możliwości mechanicznych. Mówi się także w kołach ludzi którzy wnikając w treść otaczających nas zjawisk, doszukują się pewnej jasnej i prostej w wyrazie prawdy, zamykającej w sobie sens świata i człowieka.

Poza temi rozważaniami nader ogólnemi idą czyny, które można nazwać słupami milowemi na drodze człowieka w kosmos. Do takich czynów należą przedewszystkiem bohaterskie loty stratosferyczne, które usiłują wydrzeć wszechświatu jedną z wielkich tajemnic, nazywanych promieniami kosmicznemi. Człowiek coraz wyżej się wznosi nad ziemię, coraz się bardziej od niej oddala.

A poza temi próbami następują próby inne, idące po linji zbudowania statku kosmicznego, któryby mógł opuścić ziemię i przenieść człowieka na planety sąsiednie.

Próby te, jak narazie są dopiero zabawkami dziecięcemi, podobnemi tym, jakie istniały za czasów greckich, kiedy to piękne Greczynki bawiły się potartym o białą chlamidę bursztynem i cieszyły się kiedy ten kawał żywicy przyciągał, a potem odrzucał skrawki materji, drewienka, płatki kwiatów itd. Czy przypuszczały wtedy, że siła utajona w żółtym kamieniu, jak nazywano bursztyn, potrafi poruszać ciężkie pojazdy, oświetlać miasta, ogrzewać, przenosić głos ludzki na zawrotne odległości? Dzisiejsze próby budowania statków kosmicznych przypominają doświadczenia, jakie poprzedziły wynalazki Stephensona i Watta. Zwykła sobie zabawka w sensie takim jak próbówka, na której dno nalano trochę wody i wtłoczono w nią szczelny tłoczek. Ogrzewano wodę i obserwowano jak tłoczek podnosi się w górę, a potem odsuwano próbówkę od ognia i dziwiono się, że tłoczek opada wdół. Dziś nie dziwimy się temu, dziś tłoki parowe poruszają olbrzymie koła lokomotyw.

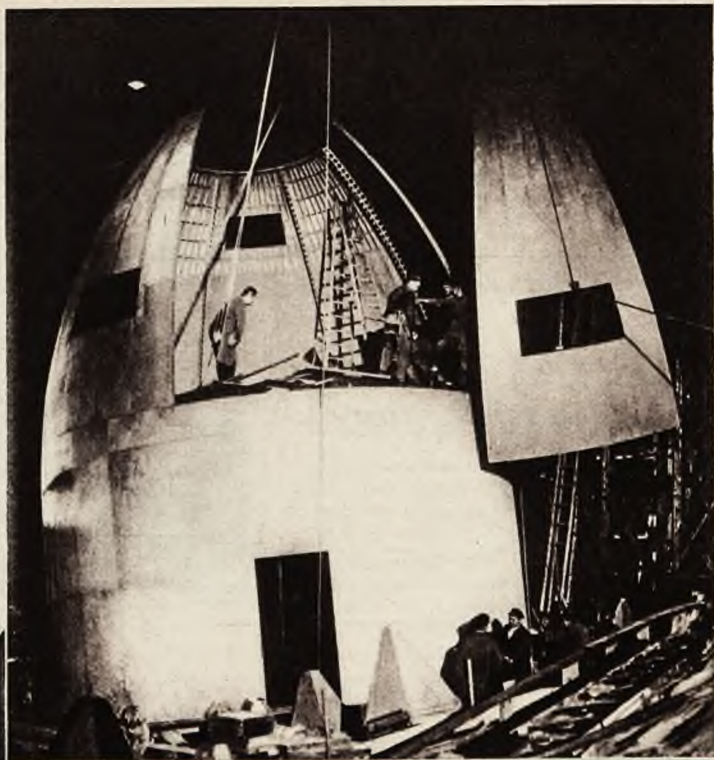
Rozwiązując problem jazdy międzyplanetarnej, umysł ludzki wszedł na drogę konstrukcji motorów wybuchowych, działających na zasadzie akcji i reakcji. Pewie zespół ładunków wybuchających kolejno miałby udzielać napędu takiej rakiecie kosmicznej, wznosząc ją coraz bardziej wgórę. Działanie to opiera się na takiej samej zasadzie jak cofanie się działa po wystrzale.

Ileż to fantastycznych rysunków i planów takich rakiet kosmicznych obiegło prasę, ile napisano w tej sprawie rozpraw i artykułów... Fantazja ludzka stworzyła nawet sensacyjny film o kobiecie, która w statku rakietowym odbyła podróż na księżyc. Podziwialiśmy genjalną fantazję autorki scenarjusza Thea von Harbou i zachwycającą reżyserję Fritza Langa.

Ale po zachwytach wywołanych wspaniałą iluzją, przyszła refleksja. Po przeczytaniu wielu artykułów i obejrzeniu setek planów zjawiło się pytanie, czy i kiedy dostaniemy się choćby na najbliższego sąsiada ziemi — na księżyc?

Przyszły doświadczenia. W Ameryce zbudował rakietę prof. Goddard. Wyliczył ją dokładnie i konstruował precyzyjnie. Prasa amerykańska głosiła triumf wynalazku, zanim jeszcze doszło do prób. Proba zawiodła.

Dokończenie na str. 30.



U góry: Budowa statku kosmicznego dla celów filmowych



Na prawo: Tarcza księżyca widziana przez teleskop. Pod nią pocisk międzyplanetarny na tle mgławicy spiralnej.

Nasza ankieta

TYP KOBIETY WSPÓŁCZESNEJ

Jaką ona jest i jaką pragnąłbym ją widzieć?

I.

Literat: JALU KUREK.

Możnaby się wysłowić w przepastnych aforyzmach, możnaby coś napisać lirycznie i mgliście — ale dlaczego nie powiedzieć tego prosto:

Kobieta współczesna: zgrabna, wygimnastykowana, szczupła, krótkowłosa, nie utleniona, nie pudrująca się. Używa maquillage'u, ust nie czerwieni. Koniecznie sportsmenka, ale rany Boskie, nie zanadto (a już niech Bóg uchowa — nie lekkoatletka!). Koniecznie musi umieć śpiewać, mniej koniecznie tańczyć. Z umiarem rwąca się do spraw wielkiego świata. Raczej — nie siła biurowa. Powinna znać się na gotowaniu, szyciu, urządzaniu wnętrz. Kobieta oddana mężczyźnie. Miła i miłująca. Rozumnie zazdrosna. Nie histeryczka. Zdrowa. Uczuciowa. Tkliwa (przynosi to jej zaszczyt). Nie lekkomyślna, nie przesadna, dobra. Matka dziecku — dojrzała i światła. Pisze na maszynie, inteligentna. Boże broń, nie działaczka społeczna.

Wobec mężczyzny śmiała, opanowana, wytworna. Wobec męża — nieśmiała. Spojrzeniem i uśmiechem jego koryguje swoją niepewność. Ale koniecznie musi być sobą. Jako indywidualistka nie może ulegać zdaniu mężczyzny; nieznośna jest uległa pantoflarka. — Wobec dziecka reprezentuje wysoki kapitał zaufania. Mężowi — nie powszedniejąca, umie latami stale budzić jego żądzę jako kochanka. Ideał żony: być stale kochanką. — W drobiazgach przymilna. Oczywiście — wierna.

Może mówić dużo, niezawsze zajmująco, ale zawsze ładnie. Długo jeszcze dałoby się o tem pisać. Kobietę dzisiejszą owiewa dech nowoczesności, ale mimo to w zasadniczym typie podąża ona stale za męskiemi tęsknotami. Cała np. moda kobieca jest kształtowana sugestjami i pomysłami mężczyzn. Mimoto jej kobieca odrębność jest nadal na najlepszej drodze. Piękne obrazki współczesnej kobiety: narciarka wychodzi na trening z dzieckiem na narty, albo: gwiazda filmowa upłakana z tęsknoty za mężem.

Jaką pragnąłbym widzieć kobietę? Taką właśnie. Co tu dużo mówić — to jest moja narzeczona. W rzeczywistości kobiety bardzo sobie biorą do serca nasze uwagi. Dlatego to piszę. Każda kobieta chce być kochana. A rośnie, pięknieje, szlachetnieje, mądrzeje właśnie od kochającego słowa. Ona to zrozumie. Koniec.



Jalu Kurek.

Fot. „AS".



II.

Artysta malarz: KAZIMIERZ JASNOCH.

Z naszą ankietą o typie współczesnej kobiety przenieśliśmy się na prowincję — do Poznania. Zwróciliśmy się do znanego w sferach towarzyskich Poznania artysty-malarza, p. Kazimierza Jasnocha z prośbą o podzielenie się z nami na ten niezwykle interesujący temat. Wprawdzie tematem obrazów p. Jasnocha nie są piękne panie, jest on bowiem malarzem rodzajowych scen z życia Kaszub, nie przeszkadza mu to jednak mieć swe wyrobione zdanie o kobiecie. Dla wyjaśnienia dodać jeszcze musimy, że p. Jasnoch jest także kapitanem rezerwy, odznaczonym w bojach o niepodległość krzyżami i medalami. Oddajemy więc głos p. Jasnochowi:

„Jako żołnierz pragnąłbym, by kobieta była, jak ten żóraw hutniczy w hutach śląskich, który jak polip chwyta swemi mackami wszelkie metale, złe czy dobre i przetapia je na użyteczny płyn. Pragnąłbym, by była lekka i płynna, by była tem słońcem, które pobudza wszystko i wszystkich do czynu...

Jako malarz widzę ją inaczej: blondynką, szatynką, brunetką, czarnulką, a przedewszystkiem długonogą, — niestety, z tem, to trochę trudno, — wiotką, wygimnastykowaną, lecz nie wysportowaną przesadnie, kochającą bardzo... łazienkę. Sex appeal pożądany. Muzykalność konieczna, tylko na Boga niech nie pisze i nie maluje — to proszę zostawić prawdziwym poetkom i malarkom.

Wreszcie jako ten „szary" obywatel pragnąłbym widzieć w kobiecie dobrą i mądrą matkę, włączywszy nota bene zalety, poprzednio już wymienione.

— Taką powinna być kobieta w pańskiej wyobraźni, a jaką dla Pana jest w rzeczywistości?

— Zna Pan, Redaktorze, moją żonę. Ta jest dla mnie idealnym rzeczywistym, nie wymaginowanym typem".

Na lewo: Kazimierz Jasnoch.

Fot. „AS".

Curiosa teatralne

„TRAVIATA"

W BOLSZEWICKIEJ INTERPRETACJI

Przez pewien czas wydawało się, że szał komunistyczny przekształcania wszystkich międzynarodowych dzieł literackich i muzycznych w celu uwypuklenia tendencji sowieckich przeminął, a twórcy i interpretatorzy w Moskwie zrozumieli, że sztuka jest międzynarodową i nie może być naginaną do celów propagandowych. Obecnie jednak uwidacznia się w tamtejszym teatrze i w literaturze nowa fala tendencyjności, której objawy graniczą już wprost z groteską.

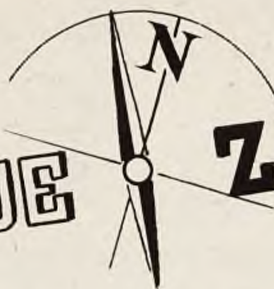
Jak wiadomo, opera Verdiego „Traviata" nie zawiera ani cienia aluzyj politycznych. Jest to typowy romans miłosny, którego bohaterka, wytworna dama z półświatka, kobieta inteligentna i subtelna, kocha arystokratę francuskiego i jest przez niego kochaną; porzuca dla niego swobodny tryb życia, okazuje najwyższą szlachetność, a jednak nie może go poślubić, bo ciąży na niej piętno burzliwej przeszłości.

Cóż zostało z tego libretta, opartego na powieści Dumasa? Przypatrzymy się, jak wygląda przekształcenie opery na modłę sowiecką, dokonane przez Niemirowicza-Daczenkę w Moskwie. Z oryginalnej „Traviaty" nie pozostało prócz muzyki nic zgoła. Tekst jest zupełnie odmienny. Akcję przeniósł sowiecki librecista do Wenecji, a pod względem czasu wybrał wiek XVIII. Bohaterka libretta Violetta, której pozycja socjalna w operze Verdiego bynajmniej nie jest utrzymana w tajemnicy, przekształciła się w nieszczęśliwą aktorkę, która biada i utyskuje nad tem, że to samo towarzystwo, które okazywało jej uwielbienie i nie szczędziło oklasków na scenie, eliminuje ją bezlitośnie ze swojej sfery, gdy chodzi o małżeństwo z jednym z arystokratów. Alfred, amant Violetty, jest przedstawiony w sowieckiej „Traviacie" jako spieszczony synalek bogatych rodziców, któremu los przydał nadomiar złego ojca, brutalnego i cynicznego, przedstawiciela znienawidzonej w Rosji sfery kapitalistycznej.

Wszystkie te „kwiatki", wyrosłe na niwie tendencyjności sowieckiej „Traviaty", miały dać jej podkład socjalny i wykazać degenerację świata kapitalistycznego. Lecz mimo ducha propagandy, uwidocznionego w dziele, wersja opery Verdiego jest raczej zabawna, aniżeli tragiczna. Jakoś trudno uwierzyć w krzywdę „ofiary ustroju kapitalistycznego", która pławi się w dostatkach i posiada luksusowe urządzenie i kosztowne toalety. Czuje to widocznie autor, gdyż podkreśla na każdym kroku dystans między wzgardzoną aktorką a publicznością, zadzierającą nosa na jej widok i wygłaszającą lekceważące uwagi o aktorach. Z zupełnem niezrozumieniem ducha czasu XVIII stulecia każe autor wygłosić ojcu Alfreda tego rodzaju zdanie: „Już dawno powiedział Szekspir, że aktorki nic nie są warte".

Jedynie interesującą stroną tego widowiska stanowią dekoracje. Kurtyny, jak zwykle w teatrach sowieckich nie istnieją: zmiana dekoracji po każdym akcie dokonywa się na oczach widowni. Chór stanowią damy i panowie z wytwornego towarzystwa, śpiewający zjadliwe uwagi na temat charakteru i prowadzenia się kobiet ze świata teatralnego.





Czy istnieje zmysł szósty?

CHARLIE

Rozprawa naukowa jednego z uczonych amerykańskich, jaka niedawno się pojawiła, rozpatrująca zagadnienie istnienia szóstego zmysłu, na nowo poruszyła ten interesujący problem.

Już od dawna zauważono, że ludzie pierwotni i niektóre zwierzęta okazują zadziwiającą zdolność orjentowania się w lasach, pustyniach czy górach. Zarówno wśród ludzi jak i zwierząt spotykamy pewne wypadki tak zadziwiającej zdolności orjentacyjnej, że nie możemy jej wytłumaczyć sobie prostą wprawą, nabytą przez ćwiczenia czy warunki życiowe. Tak n. p. gdy ekspedycja naukowa francuska przed kilku laty robiła pomiary na Saharze, zdarzył się ciekawy wypadek: Jeden z inżynierów z pomocą mapy i kompasu oznaczył kierunek drogi. Obecny przytem jeden z Beduinów zwrócił uwagę inżynierowi, że kierunek drogi jest źle wytyczony, bo miejsce, do którego zdążają jest o parę stopni odchylone na zachód od miejsca oznaczonego przez inżyniera. Gdy pomiary powtórzono z większą dokładnością, okazało się ku niesłychanemu zdziwieniu uczonych, że Beduin miał rację.

Jeden z angielskich myśliwych opisuje znów zadziwiającą zdolność murzynów afrykańskich do odnajdywania drogi. „Jakim sposobem murzyni w najdzikszych pustyniach i puszczach odnajdują zawsze najkrótszą drogę do swoich wsi, to jest dla mnie dziś zagadką. W Afryce wschodniej słońce koło południa znajduje się w zenicie, dlatego określenie czterech stron świata nie jest tam rzeczą tak prostą jak u nas; nie przypuszczam też, żeby się ludzie tamtejsi kierowali słońcem; poprostu wiedzieli i mówili sobie: „tam i tam jest nasze obozowisko". Któż dojdzie dlaczego oni się nigdy nie pomylą w kierunku?

Podobną zdolność orjentacyjną posiadają prawie wszystkie ludy pierwotne. Indjanie, dzisiaj znajdujący się już na wymarciu, odznaczali się również niezwykłą zdolnością orjentacyjną. U nas w Europie zdolność tę posiadają w wysokim stopniu cyganie. U ludzi cywilizowanych zanika ona i przytępia się, mimo to możemy obserwować np. na wycieczkach, że jedne osoby orjentują się lepiej, tak jakby tę zdolność posiadały, inne natomiast zdają się być zupełnie jej pozbawione. Zdolność orjentacyjną można w dość prosty sposób wypróbować. W lesie lub w górach badanej osobie zawiązuje się oczy i prowadzi chwilę krętą drogą. Po pewnym czasie osoba ta nadal z zawiązanemi oczyma ma wskazać strony świata i niektóre miejscowości, o ile je zna i była tam. Ciekawem jest, że są pewne osoby, kóre przy takiej próbie nie pomylą się nigdy. W nieokreślony sposób „czują" strony świata i położenie szukanych miejscowości. Oczywiście próbę tę można zrobić i w pokoju, ale tu jest orjentacja łatwiejsza i próba prawie zawsze się udaje. Osoby obdarzone tą zdolnością nie mogą nigdy zabłądzić. O ile w danej okolicy mają bodaj jeden punkt znany, to chociaż go nie widzą, kierują się według niego i znajdą zawsze właściwą drogę. Zrozumiałem jest, że zdolność ta zawodzi w górach lub bagnistych okolicach, gdzie nie wystarczy znać kierunek, lecz głównie różne przejścia i niebezpieczne miejsca.

Podobną, lecz i wiele doskonalszą zdolność orjentacyjną posiadają zwierzęta. Opisy życia zwierząt podają nam szereg faktów, dowodzących istnienia zwierząt o niezwykłej zdolności orjentacyjnej. Franklin w swojej książce p. t. „Życie zwierząt" tak opisuje pewien wypadek: „Na fregacie „Ister" płynącej z Gibraltaru do Malty znajdował się osioł, będący własnością jednego z kupców jadących na statku. Fregata ta rozbiła się na ławicach piaszczystych o 200 mil morskich od Gibraltaru. Osioł wpadł do wody, wpław dostał się na ląd i najkrótszą drogą przez góry i rzeki powrócił do Gibraltaru". Jeszcze bardziej zadziwiającą jest historja żółwia, złowionego w oceanie Spokojnym w pobliżu wyspy Ascension, któremu wypalono na skorupie litery i cyfry. Gdy okręt zbliżał się już do Anglji, żółw ciężko zachorował, a ponieważ nie chciano, żeby zdechł na okręcie, rzucono go spowrotem do morza. W dwa lata później złowiono go znów w bliskości wyspy Ascension.

Arabowie opowiadają, że konie niejednokrotnie ratują karawany, które chcą zboczyć pod wpływem złudzenia fata morgany. Konie instynktownie idą dobrą drogą, a przewodnicy baczną zwracają uwagę na ich zachowanie. W razie wątpliwości, gdy zachodzi podejrzenie zjawiska fata morgany, koń jest wtedy nieocenionym przewodnikiem. Ptaki wracające na wiosnę z ciepłych krajów zawsze trafiają do swej rodzinnej wioski czy lasu. Gołębie pocztowe dokazują cudów, przenosząc pocztę. Wypuszczone w nieznanych sobie okolicach, przelatują setki kilometrów do miejsca zamieszkania. Któż wreszcie nie zna tych wzruszających historji psów i kotów, które wywiezione we workach poza granice swoich rodzinnych miejsc, wracają z daleka nieraz po kilku miesiącach wędrówki. Trudno przyjąć, by był to tylko wpływ warunków i ćwiczenia. Coraz częściej uczeni tłumaczą zdolność orjentacyjną posiadaniem szóstego zmysłu, zmysłu miejsca. U ludzi cywilizowanych zmysł ten jako nieużywany, jest przytępiony. Częste wycieczki i przebywanie w górach, czy lasach zaostrzają go w wielkim stopniu. Wytrawny turysta o wiele lepiej orjentuje się niż nowicjusz.

Kategoryczne stwierdzenie szóstego zmysłu jest trudne, bo nie znamy ani jego umiejscowienia, ani nerwów przewodzących wrażenia orjentacyjne, co oczywiście uniemożliwia przeprowadzenie odpowiednich doświadczeń.

Inż. Władysław Müller.



Gołębie pocztowe posiadają nieomylny instynkt w kierowaniu się do miejsca swego przeznaczenia, dlatego też oddają ludziom nieocenione usługi jako „listonosze".



Znany jasnowidz Hanussen dokonał oryginalnego eksperymentu, który polegał na odszukaniu z zawiązanemi oczami lalki, ukrytej na jednym z placów Berlina, posługując się tajemniczym szóstym zmysłem.

CUDA MIKROKINEMATOGRAFJI.

Wśród ludzi, którzy w jakimkolwiek zakresie posługują się objektywem, nie celem realizacji romantycznych obrazów, lecz aby dostarczyć nauce pewną i przejrzystą dokumentację, jedno z miejsc najbardziej wybitnych zajmuje Jean Painlevé, Paryżanin, syn znanego polityka niedawno zmarłego.

Painlevé wcześnie wszedłszy w orbitę zainteresowań naukowych, poświęcił się z początku specjalnym studjom matematycznym, następnie zaś historji naturalnej, a nawet medycynie, następnie zaś zajmował się kinematografją, a również teatrem doświadczalnym. Prócz tego pociągała go biologja i dlatego Jean Painlevé oddał się zgłębieniu nowego środka badania, t. j. objektywu mikrokinematograficznego. Już w r. 1927 rozpoczął realizację swych dokumentarnych filmów naukowych, które następnie zostały wyświetlane w Paryżu, Amsterdamie, Berlinie, w Wiedniu, Nowym Jorku i t. d.

Painlevé jest również twórcą szeregu cudownych wręcz przyrządów, któremi posługuje się Instytut Naukowej Kinematografji. Filmy, „wydane" przez Instytut mogą stać się środkiem naukowym, a zarazem również zainteresować szeroką publiczność, posiadając nad wyraz starannie opracowaną akcję, przyczem plastyka zdjęć jest do tego stopnia frapująca, iż wzbudza nawet u laików wielkie zainteresowanie. Drugi gatunek filmów służy wyłącznie specjalnym celom naukowym i te nie będą stanowić tematu niniejszego artykułu.

Filmy Jean Painlevé'go obeszły cały świat: bohaterowie ich, jak polip, kraby, ośmiornice i t. d. odkrywają nam w nich tajemnice swej egzystencji i swych oryginalnych zwyczajów. Na ostatnim kongresie międzynarodowym, poświęconym naukowej kinematograficznej dokumentacji, demonstrowano wśród innych film Jean Painlevé'go, zatytułowany „Konik morski", w którym przedstawił życie tego dziwnego mieszkańca głębin.

Konik morski przebywa, jak wiadomo, w ciepłych morzach Europu, Dal. Wschodu i Australji. Ciało jego, przypominające wyglądem kamień, może posiadać kolor szary, czerwony, lub ciemnozielony. Najoryginalniejsza jest jego głowa, do złudzenia podobna do łba konia, lub też „konika" w szachach.

Pragnąc zbadać życie tego zwierzątka, Jan Painlevé zapuszczał się na szereg godzin w głębiny morskie i pewnego razu omal nie postradał życia.

Jakiej ogromnej potrzeba wytrwałości, aby śledzić te kapryśne stworzenia, które bynajmniej nie mają zamiaru pozować przed objektywem i właśnie w chwili, kiedy zamierza się je utrwalić, uciekają z pola widzenia?

W istocie, co to za dziwne stworzenie, ten konik morski! Wszystko jest u niego niesamowite. Już na pierwszy rzut oka uderza budowa jego ciała, zakończona oryginalnym ogonem, który zawija naokoło siebie i którym czepia się wodorostów, lub też swych towarzyszy, dając się im „obnosić".

Samiec otrzymuje od samiczki i przechowuje w swojem łonie 200 jajeczek, które później staną się jego potomstwem; podziwiamy u niego wszystkie te starania, których użycza on niewidzialnym prawie larwom w chwili tworzenia się nowego życia. Z larwy powstaje embrjon, który z dnia na dzień przyjmuje bardziej wyraźną postać. Wkońcu ukazują się łuski i konik morski pewny siebie rozpoczyna swoją wędrówkę, pragnąc poznać otoczenie, trzyma się prosto, pionowo, z pewną wyniosłością, co jest zjawiskiem jedynem w świecie ryb.

— Jakież trudności nastręczają takie prace, — tłumaczył mi Jean Painlevé — lecz właśnie te trudności, spowodowały, że wybrałem te zwierzątka morskie jako temat dla moich filmów. Nieraz jednak wymogi handlowej eksploatacji zmuszają mnie do obcięcia najciekawszej części taśmy, właśnie tej, która kosztowała mnie najwięcej trudów i wysiłków. Wszystko w moich filmach jest szczerą prawdą. Staram się jednak uchwycić moich „aktorów" filmowych pod pewnym kątem widzenia, w pewnych chwilach, celem stworzenia filmu, który może równie zainteresować artystę, jak zwykłego widza i człowieka nauki.

Oto nadzwyczajne skrupuły uczonego, wstydzącego się użyć różnych „tricków", celem zabawienia publiczności romantyczną nauką, która nie byłaby już nauką w ścisłem tego słowa znaczeniu.

Publiczność całego świata wyraziła się nad wyraz pochlebnie o spostrzegawczości przyrodnika, o maestrji operowania światłami i cieniami na ekranie. Mimo to jednak Jean Painlevé nie spoczywa na laurach, lecz intensywnie pracuje dalej w swojem laboratorjum Instytutu Naukowej Kinematografji: tworzy nowe filmy, które wkrótce olśnią publiczność całego świata. Jean Painlevé jest uczonym i artystą, dlatego też zupełnie słusznie nazwano go „poetą ekranu".

Ferdynand Reyna (Paryż)



Na prawo: „Konik morski", żyjący w morzach Europy, Dalekiego Wschodu i Australji.
Fot. J. Painlevé.



Poniżej: Jean Painlevé, mistrz objektywu mikrokinematograficznego, demonstruje na ekranie fragment swego filmu.



Szczypce homara w fotografji Painlevé'go.

MAM DO PANI PROŚBĘ...

FELICJA STENDIGOWA

NOWELA

ILUSTR. A. ŻMUDA

Po 10 latach małżeńskiego pożycia wyjeżdżała pani Niuta po raz pierwszy do jednego z zagranicznych sanatorjów w celu podreperowania nadszarpanych nieco nerwów i wypoczynku zdala od rozkosznej, lecz niemniej rozkapryszonej pary dzieciaków i kieratu codziennych zajęć gospodarskich. Czuły i troskliwy małżonek sam ją do wyjazdu nakłaniał, przyrzekając staranną opiekę nad dziećmi. Uspokojona przeto na duchu, po udzieleniu jeszcze mnóstwa wskazówek mężowi i służącej — wyruszyła pani Niuta na swe pierwsze wywczasy.

Pani Niuta nie była kobietą nowoczesną w pełnem tego słowa znaczeniu. Nawet jeśli chodzi o aparycję zewnętrzną. Ani platynowa ani tycjanowska, ba nawet bez znajomości i bez stosowania maquillage'u i z nieporównanie mniejszym od Marleny Dietrich sex-appealem. Niemniej była przy swych kasztanowych lokach i zlekka pudrowanym nosku ładną i zgrabną, a przytoczone mankamenty rekompensowała umysłowym ekwipunkiem.

Zupełnie niewspółczesna była jednak pani Niuta na punkcie swych archaicznych poglądów na instytucję małżeńską. Bo, proszę się nie gorszyć, przez całe dziesięciolecie swego małżeństwa nie zdradziła pani Niuta ani razu swego męża i co gorsza, nie miała wcale zamiaru go zdradzić. Może po części z tej racji, że będąc fatalistką — obawiała się, by jakikolwiek „faux pas" nie odbił się fatalnie na niej i na jej dzieciach — może też i dlatego, że krew nie płynęła tak burzliwie w jej żyłach, jak w wenach Messaliny czy Lukrecji.

A jednak małą, niewinną przygodę przeżyłaby chętnie i pani Niuta. Rok za rokiem bezpowrotnie mija, 32 rok wykazuje kalendarz jej życia — tak mało już pozostaje z drugiej młodości. Granica wieku dziś wprawdzie znacznie przesunięta, lecz czy jest jej pisane być Ninon de Lenclos czy Mistinguette?! Toteż należałoby się spieszyć... Pani Niuta radaby się przekonać, czy potrafi się spodobać mężczyźnie (oczywiście takiemu, któryby się jej podobał). Czyż może być lepsza po temu okazja, jak pobyt w zagranicznem sanatorjum wypoczynkowem? Możemy zaś zaufać pani Niucie, że nie przekroczy ona granic wyznaczonych uczciwej kobiecie.

— — — — — — — — — — —

W sanatorjum zgoła nieciekawe towarzystwo. Nieco wymoczkowatych, niewyraźnych młodzianów, paru zgrzybiałych weteranów, kilku specimenów, w tak zwanej sile wieku, jednak zbyt korpulentnych lub łysych. Wprawdzie młody lekarz asystent wcale przystojny i miły, ale najwidoczniej zajęty pozyskaniem względów przystojnej, posażnej jedynaczki, towarzyszącej tu rodzicom na kuracji. Krótko mówiąc — nikt, ktoby wchodził w rachubę dla pani Niuty.

Pierwszy tydzień minął jałowo. Poczęści na kuracji, na spacerach w nieatrakcyjnem towarzystwie, no i na lekturze. Tej miała poddostatkiem w domu i nie po to tu przyjechała!

W drugim tygodniu jej pobytu przyjechał pan Henryk. Rosły, przystojny, elegancki, o ujmującym uśmiechu, odsłaniającym pyszne, zdrowe zęby. Po raz pierwszy ujrzała go pani Niuta w pawilonie podczas śniadania. Uwagę jej zwrócił wówczas głośny śmiech, tak rzadki gość w tem apatycznem gronie. To właśnie nowoprzybyły pan Henryk przy jednym z sąsiednich stołów opowiadaniem swych „bon mots" galwanizował ospałe towarzystwo. Po śniadaniu pani Niuta, wracając do swego pokoju — przechodziła obok stołu z rozbawionem towarzystwem. I po raz pierwszy spotkały się ich spojrzenia. Pan Henryk z widocznem zaciekawieniem zmierzył panią Niutę od głowy do stóp. Tak — najwyraźniej do stóp, zatrzymując wzrok dłużej na jej nogach.

Bo też pani Niuta miała ładne nogi — tego nie mógł nikt zaprzeczyć. Nie śpiewała ona wprawdzie w dumnem samopoczuciu, jak Loda Halama: „Ja mam nogi" — niemniej była świadomą posiadaczką prężnych, wysmukłych łydek i zgrabnych stóp (niespełna 36 numer obuwia).

W tej chwili przypomniała sobie pani Niuta, że należałoby zakupić tę parę pięknych pantofelków z prawdziwej wężowej skóry, oglądanych przedwczoraj w wystawie tutejszego, wielkiego magazynu obuwia. Niemal wszystkie panie, korzystając ze sposobności pobytu w kraju, słynnym z produkcji i taniości obuwia — zakupywały po kilka par tych skórzanych cacek. Jeszcze tego samego przedpołudnia wprowadziła zamiar w czyn i już zdążając na obiad do sanatorjum, obuła nóżki w nowo zakupione pantofelki. Nogi zyskały jeszcze na ekspresji w tej korzystnej oprawie.

Na jednej z ławek w parku, tuż przed sanatorjum — siedział pan Henryk w towarzystwie starszej pani (pani Niuta miała ochotę uściskać tę matronę z wdzięczności za jej wiek). Tym razem poddał sylwetkę pani Niuty jeszcze bystrzejszej obserwacji, poświęcając najwięcej uwagi jej kończynom. Na widok nowych, pięknych pantofelków, uśmiechnął się lekko. Zauważyła to pani Niuta.

Tego dnia sprzyjał jej los najwyraźniej. Starsze małżeństwo z Pragi, zajmujące obok pani Niuty miejsce przy stole w sali jadalnej, a zabawiające ją z reguły wyliczaniem swych dolegliwości — wyjechało tego samego dnia, a opróżnione miejsce, tuż po lewej stronie pani Niuty wyznaczyła gospodyni panu Henrykowi.

— Tak miłe sąsiedztwo dostało mi się w udziale — zaczął po dokonanem przedstawieniu się pan Henryk — znamy się wszakże już od rana.

Rozmowa popłynęła odrazu jak mię-

dzy dawnymi, dobrymi znajomymi, niczem auto po dobrze asfaltowanej szosie, ku niewielkiej satysfakcji sąsiadki pana Henryka z prawego boku. Chociaż na chwałę pana Henryka dodać trzeba, że i zażywnej sąsiadce po drugiej stronie świadczył uprzejmości przy stole, jak przystało na kawalera ze znajomością savoir-vivre'u.

Przez szereg dni towarzyszył p. Henryk pani Niucie na spacerach (rozegrali kilka partyj tenisa); nigdy nie zabrakło im tematu do rozmowy. Należeli do tych ludzi, którzy nawet nie posługując się zdawkowym flirtem — znajdowali poza pogodą i obgadywaniem kochanych bliźnich, jeszcze sporo innych zajmujących tematów. Pani Niucie przelatywały dnie, jak obłoki po wiosennem niebie. Przyłapała się nawet — o zgrozo — na tem, że nie wyczekuje już z takiem utęsknieniem poczty z domu, jak dawniej. Nowa znajomość przysłoniła sobą wszystko.

Pan Henryk zachowywał się jak prawdziwy gentleman, z tych prawdziwych „made in England". Nie pozwalał sobie na nic, coby mogło urazić w czemkolwiek panią Niutę. Miał dla niej najwidoczniej wiele szacunku. Może nawet nieco za dużo — myślała skrycie pani Niuta. Bo ostatecznie — mój Boże — pewne widome oznaki sympatji czy adoracji nie byłyby znowu tak wielkiem przestępstwem. Zastanawiało to jednak panią Niutę, że jej towarzysz zatrzymuje często wzrok na jej nogach. Nie jest chyba fetyszystą! Najwidoczniej czuły tylko na piękno kobiecej nóżki. A jednak nie zdradził dotąd ani słowem swego kultu, który ujawniał się tylko w spojrzeniu.

Po dwóch tygodniach najmilej spędzonych w rajskiej niewinności, wybiła chwila wyjazdu pana Henryka. Musiał on skrócić swój pobyt i przy kolacji zakomunikował pani Niucie o liście, wzywającym go do kraju.

— Miałbym dziś do pani wielką prośbę, pani Niuto — wypowiedział z dziwnem u niego zażenowaniem. — Czy pozwoliłaby pani przyjść na chwilkę do siebie po kolacji?

— Nie odmawia się wszakże ostatniej prośbie — odparła pani Niuta, a serce łomotało jej w piersiach.

Po kolacji pobiegła do swego pokoju, zamieniła popołudniowy kostjum na seledynową sukienkę, w której wiedziała, że najkorzystniej wygląda (czyż nie należało podkreślić swych walorów fizycznych?), przypudrowała nosek, zaczesała swe kasztanowe loki i pokropiła kilkoma kroplami „Quelques fleures".

Pełna napięcia i wyczekiwania usiadła przy stoliku, opodal drzwi balkonowych. Przez uchylone drzwi ciepłe powietrze lipcowej nocy, przesycone aromatem parkowych róż, wdzierało się wonną smugą do pokoju i zlewało z zapachem kwiatów w wazonie. Przez niezamknięte okiennice zaglądało wygwieżdżone niebo i mrugało tajemniczo mirjadami złocistych punkcików. Przyćmione abażurem światło lampki potęgowało nastrój.

— Nigdy jeszcze nie przestąpił progu mego pokoju, choć mieszkamy w tem samem skrzydle. Dziś poraz pierwszy prosił o pozwolenie odwiedzenia mnie. Czyżby nagły wyjazd uzbroił go w śmiałość? Cóż miałaby oznaczać ta prośba?... Jak rój natrętnych komarów wirował splot pytań w mózgownicy pani Niuty.

Niebawem zjawił się pan Henryk z białą paczką pod ramieniem.

Czyżby kwiaty? — Chyba nie w kartonie. Na bombonierkę zbyt wysokie pudło! Pocóż zresztą wyprzedzać wypadki? — snuła dalej swe myśli.

Rozmowa nie biegła zrazu tak potoczyście jak zazwyczaj. Swobodny zwykle pan Henryk wydawał się zakłopotanym. Wkońcu wziął na odwagę:

— Przykro opuszczać miejsce, z którem łączą się wspomnienia tak mile spędzonych chwil... Muszę Pani wyznać... (przy tych słowach lekki dreszcz wstrząsnął panią Niutą), że nie spotkałem dotychczas tak miłej towarzyszki wywczasów jak Pani... Jest Pani tak różną od innych kobiet. — Szkoda, że pobyt mój zostaje przerwany tak raptownie, jak zresztą wszystko co w życiu piękne i miłe — krótkotrwałe.

Pani Niuta czuła, że płonie. Nie potrafiła wydobyć z siebie słowa. I pan Henryk był jakoś zażenowany. Zapanowało krępujące milczenie. Pan Henryk spojrzał na zegarek.

— Już pół do dziesiątej. Pociąg mój odchodzi jutro nad ranem o piątej, należałoby jeszcze dzisiaj spakować walizy. Niestety będę musiał panią wkrótce pożegnać. Miałbym przedtem jedną prośbę do pani, pani Niuto!

Wzrok pana Henryka pobłądził ku stopom pani Niuty. Nastrój stawał się stanowczo zbyt napięty. Co on powie? Co on zrobi? Czując niemal uderzenia serca w samej krtani, wyszeptała ledwo dosłyszalnie:

— Proszę... Słucham...

Pan Henryk, jak gdyby mu ciężar spadł z serca, począł rozpakowywać tajemniczą paczkę. Zaczął mówić dosyć prędko, jakgdyby podniecony czemś.

— Pani pantofelki są czarujące... Już od dawna je podziwiałem. No, część swego sukcesu zawdzięczają oczywiście pani pięknym nóżkom. Ileż uroku w nich się mieści! Kupiłem taką samą parę i chciałem panią prosić...

Pani Niuta znalazła się bodaj pierwszy raz w podobnej sytuacji, żeby obcy mężczyzna śmiał jej proponować coś takiego. Wzrok jej zaczął błądzić po pokoju, wkońcu pytająco — zdziwiony zatrzymał się na panu Henryku.

— Tylko z tem nowem obuwiem... Wie pani... Na granicy... są zawsze takie ceregiele. Czyby pani nie była łaskawa...

Pani Niuta czekała z zapartym oddechem na ostatnie słowa.

— ...Chciałem właśnie panią prosić, czyby pani nie była łaskawa zachodzić je trochę dzisiejszego wieczoru... W całem sanatorjum tylko pani jedna ma takie małe i piękne nóżki... Zupełnie ta sama wielkość co u mojej żony!

Pani Niuta lekko westchnęła. Duży ciężar spadł jej z serca, które ją jednak równocześnie lekko zabolało...



Moje studja z Puccinim.

Napisała: MARJA JERITZA
śpiewaczka Opery Państw. w Wiedniu.

Dźwięczny głos Jeritzy utrwalony na taśmie filmowej.

Opera jest teatrem w całem tego słowa znaczeniu. Jak każdy teatr, wymaga realizmu życiowego. Tak gra, jak i ukształtowanie postaci w operze musi być realistyczne. Ewolucja nowoczesnej opery popiera moją opinję i wzbogaca ją w doświadczenie. Dzisiaj żaden inteligentny reżyser nie toleruje nienaturalnej gry na scenie opery. Gdy spojrzymy w przeszłość i uwzględnimy, w jaki sposób pojmowało się dawniej grę w operze, nie będziemy mogli opanować ironicznego uśmiechu. Jakże koturnowo zachowywali się bohaterowie i bohaterki na scenie! Ileż patosu wkładali w swe dźwięczne tony! Coprawda, ówczesna epoka grawitowała ku patetyczności, a tyczyło się to nietylko opery, ale także teatru dramatycznego. Nie chciałabym przez to dać do zrozumienia, że patos stracił rację bytu we wszystkich sytuacjach. Nie wolno jednak zapominać o innych szczegółach gry, gdy chodzi o patos, a tak zdarzało się dawniej, przedewszystkiem zaś w odtworzeniu roli ‚Tosci".



Zdjęcie Marji Jeritzy z r. 1910.

Rolę tę wystudjowałam ze samym Puccinim. Życzył sobie gry i gestów tak prawdziwych i realnych, jak bezpośrednia i szczera jest jego muzyka. Podczas jednej z prób wydarzył się epizod, który, jakkolwiek wydawał mi się wówczas małoznaczny, wpłynął na moją interpretację „Tosci" raz na zawsze.

Doszliśmy właśnie do II aktu, do wielkiej sceny ze Scarpią. Zupełnie przypadkowo zesunęłam się z otomany i leżałam na ziemi jak długa. Chciałam prędko wstać, lecz Puccini powstrzymał mnie w tej pozycji. Podkreślił, że Tosca, leżąca na ziemi, to idealne tło dla muzyki tej sceny. W ten sposób dopomógł mi przypadek do większego uwypuklenia tego momentu mej kreacji w sposób naturalniejszy, jak mi się to dotychczas udawało. W scenie tej bowiem jest Tosca zrozpaczona — błaga Scarpia o wolność i życie dla zagrożonego kochanka. Jest to zupełnie zrozumiałe, że ta kobieta, gnana przez furje trwogi i rozpaczy, nie ma siły, aby powstać. Leżąc na ziemi, wybucha płaczem i śpiewa swą pieśń żalu i boleści. Czuła i tkliwa, powodowana instynktem kobiecym, walczy i widzi w Scarpiu tylko swego wroga i prześladowcę ukochanego. Współczuje z ubogimi, którzy cierpią wskutek brutalności Scarpia, lecz cierpienie jej nie ma charakteru społecznego. Wszystkie jej czyny mają źródło w jej miękkiem sercu, w dziecięcem usposobieniu. Nie dzieje się w jej duszy nic takiego, co możnaby wytłumaczyć rozumowo. Tosca daje się powodować impulsowi. Jej podstęp byłby nie na miejscu, gdybyśmy w niej nie dostrzegali instynktu człowieka.

Podobnie ma się rzecz z innemi zadaniami sztuki scenicznej. Konstrukcja akcji jest nierozłącznie związana z odtworzeniem motywującej akcję postaci. Jest rzeczą niedopuszczalną, aby ktoś zaniedbywał grę dla części muzycznej i śpiewu. Dawno już minęły czasy, w których artysta operowy mógł sztywnie stać na scenie i śpiewać swoją partję. Aktor musi zatem nietylko wżyć się w intencję roli w śpiewie, nietylko opanować ją muzycznie, ale także uwzględnić grę aktorską.

Także Salome jest nietylko czysto śpiewaczą kreacją. Mnie interesuje przedewszystkiem Salome jako człowiek, jej cała prymitywna i skomplikowana zarazem istota. Ach, ta Salome!



Słynna śpiewaczka Marja Jeritza podczas prób z znanym kompozytorem Puccinim w jego wiedeńskiem mieszkaniu.

Nie jest przecież niczem więcej, jak rozgrymaszonem, naiwnem dzieckiem, przyzwyczajonem do spełniania każdej jego woli w mniejszym i większym zakresie, bez szemrania. Jest dzieckiem, które nie wie, co znaczy mieć wzgląd na kogoś, dzieckiem zuchwałem i zarozumiałem nawet w stosunku do własnej matki. Gdy staje naprzeciw Johanaana, fascynuje ją to, co jest w nim nowe, tajemnicze. To człowiek, jakiego nie spotkała jeszcze wśród swego banalnego otoczenia. On pierwszy przeciwstawia się jej. Wobec niespełnienia swego pragnienia zaczyna domagać się jego głowy. Cóż w tem jest innego, jak samowola dziecka, któremu nie spełniono jego kaprysu i które psuje i łamie zabawkę? — Jest to dzieło wielkiej muzycznej i dramatycznej sztuki, gdy po ścięciu Johanaana budzi się w Salome, tem egoistycznem, upartem dziecku, prawdziwa kobieta. Jej gra wyraża ciche, podświadome pytanie, zastanowienie się, że właściwie może nie wszystko jest w porządku. Dobre instynkty, które tkwią w Salome, stłumione złem wychowaniem, jaśnieją nagle jak gwiazda, która szybko tonie w ciemnościach nocy.

Z dzieła i roli musi się przed artystką wyłonić wyraźnie postać sceniczna, z pominięciem dawnych tradycyj scenicznych, nawyknień i szablonów. — Artysta nie powinien w swojej kreacji przystosowywać się do publiczności, lecz przedewszystkiem do prawdy. Nowoczesna opera, która zlikwidowała szablon i splotła muzykę ze słowem mówionem, dostarcza mu w tym kierunku dosyć sposobności. Śmiem twierdzić ze szczerą satysfakcją, powodowana uczuciem trwałej wdzięczności, że publiczność daje się porwać dobrą grą, chociażby była nowa, niezwykła i realistyczna. I właśnie teraz, w tych ciężkich czasach, w których teatr cierpi wskutek nieznośnych stosunków i utrudnionej ogólnej sytuacji życiowej, dobra kreacja posiada taktyczne znaczenie. Publiczności należy dostarczyć więcej walorów artystycznych, jak kiedykolwiek dawniej, aby ją utrzymać i przywiązać do wzniosłych ideałów sztuki. A cóż może być bardziej porywającego, silniej przyciągającego w sztuce scenicznej, jak prawda i życie w całem tego słowa znaczeniu, naświetlone łagodnym blaskiem ducha prawdziwej sztuki? Realizm opanuje przyszłość teatru, gdyż on jest przyszłością gry scenicznej.



WIOSNA... Fot. Bachrach.



Z I M A...

Fot. Presse Photo.

O czem tu dumać na paryskim bruku...



Paryż w XVIII w. według planu z r. 1734.

Pierwsze wrażenie jakie Paryż robi na przybyszu jest oszałamiające: niekończąca się fala ludzka, wsiąkająca po drodze w różne gmachy, składy, urzędy, biura, aby za kilka godzin znów wypłynąć z nich na ulicę, sznury samochodów, taksówek, ciężarówek, motocykli itd., mieniące się reklamy świetlne, czyniące z ulic jakby kolorową, promienistą, zapalającą się i znów gasnącą mozaikę, wszystko to daje wrażenie „par excellence" współczesne, zlewa się w wielki koncert głosów XX wieku, potężny, ogłuszający, nerwowy i o dziwnej melodji. Dopiero ochłonąwszy z pierwszego ataku wrażeń, dostosowawszy się do tego zawrotnego i innego jak gdzieindziej tempa, przyjezdny zaczyna „odkrywać" na swój sposób Paryż. Bo istotnie to olbrzymie miasto trzeba odkrywać. Jest tam przedewszystkiem kilka Paryżów, żyjących obok siebie, ale tylko rzadko mieszających się ze sobą, kilka Paryżów o odrębnej psychologji, trybie życia, poglądach, historji. Jest więc tyle opisywany Paryż oficjalny o wielkich arterjach — Polach Elizejskich, ave. Friedland i t. d., jest Paryż nauki i uniwersytetów — Quartier Latin, jest Montmartre, znany ze swych kabaretów, kawiarenek i specyficznego powietrza artystyczno-apaszowskiego, jest dalej elegancki Faubourg St. Honoré, ze swymi wykwintnymi pałacami, jest jeszcze wiele innych dzielnic. Istnieje tam jednak nadewszystko dzielnica najbardziej historyczna i grająca zupełnie swoistą rolę — Faubourg St. Germain.

O dzielnicy St. Germain mówi się we Francji poprostu „le Faubourg". „Dzielnica", to jest ta jedna, ta jedyna, ta wielka i znana, o której wszyscy wszystko wiemy. Istotnie dzielnica ta pozostawiła nietylko na historji Francji, nietylko na psychologji Paryżanina, ale też na literaturze francuskiej niezatarte piętno.

Czemże ona jest i czemże się tak wsławiła?

Od czasów kiedy Paryż zaczynał być stolicą państwa, co szło w parze ze zdławieniem decentralistycznych dążności feodałów i uczynieniem z butnych, niezależnych i nieraz wysoce burzliwych rycerzy-baronów, jedynie dworaków i wykonawców woli królewskiej, Faubourg stał się siedzibą tych, którzy dzięki swemu stanowisku musieli znajdować się pod bokiem króla, gdyż całą ich racją bytu było krążenie wokoło jego osoby. Rodziny te, noszące nazwisko Montmorency, „pierwsi baronowie chrześcijaństwa", Laval, Albon, Luynes, Rohan, Beauffremont, Gramont, Daumont, Cossé, Dreux i tyle innych, spędzały część roku w swych majątkach, zamkach i manoir'ach rozsianych po całej Francji, część przy dworze królewskim, a część wkońcu w swych paryskich siedzibach, co im umożliwiało branie udziału w życiu publicznem, które wtedy rozpoczynało się z chwilą rannego wstawania króla, otoczonego specjalnym ceremonjałem, a kończyło się kiedy król powracał do swych prywatnych apartamentów, życząc zebranym dobrej nocy. Faubourg St. Germain był więc dzielnicą, z której wychodzili wybitniejsi ludzie, gdzie się przetapiały najważniejsze sprawy, gdzie ważyły się nieraz losy państwa. Pomimo bowiem omnipotencji królewskiej, Faubourg miał nieraz chwile samowładztwa. Tak było przedewszystkiem po restauracji Bourbonów, po r. 1814, a zwłaszcza za panowania króla Karola X., t. j. mniej więcej do roku 1830. Faubourg narzucał swą wolę państwu, kierował polityką, lansował mody, kreował przez noc z takiego czy innego krawca, jubilera, fabrykanta powozów czy dekoratora bożyszcze całego Paryża.

Jeżeli mówimy o duchu tego zakątka Paryża, musimy wspomnieć też o jego położeniu geograficznem. Nieraz określa się go też jako „rive gauche" — lewy brzeg; rozpościera się on między brzegiem Sekwany, opiera o Champs de Mars, bierze nazwę z kościółka St. Germain des Près, głównemi zaś jego ulicami, biegnącemi równolegle, to ulice de Grenelle, Saint-Dominique, de l'Université, Varenne, jakoteż już mniej ważne, des Petits-Augustins, Bellechasse, du Bac itd. Odznaczają się one tem, że nie posiadają prawie wcale kawiarni, restauracji, składów sklepowych i t. d., natomiast niezliczoną ilość starych pałaców, „hôtels particuliers", zawsze pięknych i ciekawych, nieraz imponujących, wspaniałych swą architekturą, ogrodami i zabytkami w nich się znajdującymi.

Oczywiście, że i w Faubourg St. Germain życiowa maksyma „według stawu grobla" ma swe znaczenie. Były przecież czasy — zwłaszcza po restauracji Bourbonów — kiedy niejeden mieszkaniec tej dzielnicy poza nazwiskiem i tytułem, posiadał jedynie pustą kieszeń. Musiało się to odbić na jego siedzibie. O ile więc niektóre pałace jak np. Mazarin, Berwick, de la Bourdonnay, Harcourt, Avaray, Brissac, Matignon, zamieniony później na ambasadę austrjacką, Mailly-Nesle, siedziba kochanki Ludwika XV



Muzeum Cluny mieszczące się w dawnym pałacu w Fb. St. Germain.

księżnej de Châteauroux, Salm, obecnie Pałac Legji Honorowej, du Maine, obecnie Muzeum Rodina, odznaczają się wielkiemi rozmiarami, wystawnością iście królewską, o tyle inne są tam znacznie skromniejsze. Zawsze jednak prawie pałace te wyróżniają się pięknym portalem, zakończonym jakąś alegoryczną figurą, herbem właściciela lub inną artystyczną ozdobą, posiadają wewnątrz podwórzec (cour d'honneur), a bardzo często duży, nieraz jak na stosunki miejskie, olbrzymi ogród, który daje pełne złudzenie wsi. Budynki służbowe, stajnie i inne dodatkowe są częstem zjawiskiem w tej części Paryża. Służba przecież, liczna i różnorodna, była i do ostatnich niemal czasów miernikiem wielkości i znaczenia rodziny.

Podobnie, jak między ludźmi, tak i między dzielnicami istnieją rywalizacje. Takie współzawodnictwo zaznacza się od przeszło wieku między Faubourg St. Germain, a Faubourg St. Honoré, gdzie od czasów Ludwika XVI osiedlili się nuworisze ówcześni, bankierzy, bogaci przemysłowcy, mający nieraz więcej pieniędzy od swych sąsiadów, ale za to mniej gustu i smaku. Wszak Balzac, ów genjalny biograf wszystkich sfer ówczesnej Francji, każe mieszkać swemu bohaterowi bar. de Nutzingen, wzbogaconemu Niemcowi w Faubourg St. Honoré, podczas gdy arystokratyczne bohaterki jego powieści zamieszkują niedaleki St. Germain.

Dziś oczywiście i w Faubourg Saint Germain kryzys zrobił swoje, redukując wydatki, zmuszając do zwolnienia części służby. Lecz arystokratyczna ta dzielnica przeżywała może i gorsze chwile w swej egzystencji, nie pozbywając się mimo wszystko swego charakteru, swych poglądów a nadewszystko wszechwładnie tam panującego, wielkiego tonu. Tradycje starej Francji, związane organicznie z wielkiemi datami jej historji, uszlachetniły nietylko mury, ale przedewszystkiem ludzi. Wśród starych murów unosi się ten wytworny duch, na który złożyły się wieki estetycznie prowadzonego życia, duch, który swe składniki zapożyczył zarówno z bohaterskich walk Francji, jak też z jej galanterji, dowcipu, literatury i sztuki. Powietrze dzielnicy Saint Germain nie jest przepojone benzyną, ani też drogiemi i nieraz zbyt silnemi perfumami: jest ono jednak daleko czystsze jak gdzieindziej. Nie słychać w spokojnych ulicach, o majestatycznych pałacach tej ciągłej pogoni za pieniądzem i za czasem, jaka opanowała wszystkie inne arterje olbrzymiego miasta. Faubourg Saint Germain nie spieszy się, nie ugania za zyskiem, gdyż widział i bogactwo i nędzę, widział potęgę i upadek, do ostatniej kropli wychylił czarę rozkoszy życia i wie dobrze, że najważniejszą rzeczą jest zachowanie umiaru i harmonijne korzystanie z egzystencji.

Przechodząc wśród pięknych budowli ma się wrażenie, jak gdyby od tych murów wiał jakiś majestatyczny chłód, jak gdyby one same i ludzie w nich mieszkający byli zmęczeni tem życiem współczesnem i woleli zatrzymać wskazówki na zegarze życia, niż być świadkami coraz żywszego i bardziej potępieńczego tempa współczesnych stolic.



Kościół St. Germain — des Près, jeden z najciekawszych w dzielnicy.







Powyżej: Dawny pałac du Maine obecnie mieszczący muzeum Rodina. — Powyżej na lewo: Muzeum Carnavalet, posiadające typowy podwórzec, okolony pięknemi arkadami.

U góry na lewo: Muzeum Legji Honorowej przerobione ze starego pałacu.



W kole: Grobowiec Jana Kazimierza w kościele St. Germain-des-Près.

Lecz może jest to złudzenie? Może to nie zmęczenie, a poprostu spokój człowieka, który wiele przeżył i którego nic już nie dziwi?

Faubourg Saint Germain nie ma sobie równego na świecie. Wprawdzie i inne miasta posiadają dzielnice, w których skupiało się życie pewnej sfery, jak np. Praga ze swoimi pałacami podhradczańskiemi, otoczonemi wielkiemi ogrodami lub Rzym, lecz żadna z tych dzielnic nie zdołała dochować do dnia dzisiejszego swego charakteru w tak niezmienionej i czystej formie. Dlatego też ten zakątek Paryża znalazł swych biografów, którzy starali się utrwalić te wszystkie nastroje i cechy charakterystyczne, których nigdzie indziej znaleźć nie można. Takimi archeologami dzielnicy Saint Germain byli Balzac, Proust i inni.

Bo kamienie potrafią mówić i opowiadać przeszłe dzieje, trzeba się tylko umieć z niemi zaprzyjaźnić.

Jan Maleszewski.



Shirley Temple — genjalna aktoreczka filmowa, która swym talentem i wdziękiem podbiła świat cały.

Na lewo: Do tej maleńkiej uśmiecha się życie, w którem stąpa ona po różach... — Poniżej: A to małe bobo rozpłakało się na dobre pozostawione samo na dużej wadze plażowej...

NASZE POCIECHY

Złote pachnące lato. Dobroczynne promienie słońca zalewają sypkie piaski nadbrzeżne strugą ciepła, malującego brunatno-złocistym odcieniem skórę rozkosznych bobasków. Nagie, ruchliwe, krągłe ciałka zdobią wybrzeże najpiękniejszym obrazem: szczebiącącemi, roześmianemi, rozbawionemi grupkami naszych najmilszych „pociech".

— Jak mi zbuzyś mojom twieldze, to cie tak palne, ze załas ucieknies! — odgraża się nagusek o niezaprzeczonym talencie strategicznym koleżance, trzymającej paluszek w buzi z widocznym podziwem.

— Nie zbuze ci, nie! — zapewnia poważnie mała. — Ale musis potem zbudować dla mojej lalki taki ślicny domek! — dodaje z prośbą w głosie.

Gdzieindziej skupia się barwna gromadka dookoła chłopczyka, który rzewnie płacze.

— Czego beczysz? Mężczyzna nie powinien płakać! — poucza dziesięcioletniego „mężczyznę" starszy o rok kolega.

— Mądryś! Tatuś mnie skrzyczał za to, że się biję z obcymi chłopcami! A przecież ze znajomymi chłopcami wolę się bawić, a nie bić!

Dwie opalone dziewczynki zakładają w piasku ogródek. Nic to, że kwiatki wkrótce zwiędną, pozbawione korzonków i łodyg. Ale narazie jest ładnie i tymczasem cieszą się fikcją prawdy. Czyż nie przypominają pod tym względem dorosłych?

Nęcą i wabią wzrok dziewczynek barwne kamyczki. Budzi się w nich na widok perłowych, bursztynowych i różowych odcieni instynkt pramatki Ewy, nieśmiertelnej strojnisi. W zapale gromadzenia nadwodnych skarbów nie zdają sobie z tego sprawy, że wkrótce już wyrzucą zbyteczny balast, gdy się nacieszą jego barwą i blaskiem. Ale narazie zwycięża zachłanność lśniących ocząt, wrażliwych na prymityw piękna.

— Bawmy się w dorosłych! — proponuje jedna z dziewczynek.

— Nie chcę. Dorośli są źli! Krzyczą o byle co. Mają zresztą ciągle troski, jak mówi moja mamusia.

— A co to są troski? — pyta najmłodsza, nie obeznana jeszcze z tajemnicami życia.

— To są takie zmartwienia. Mamusia mówi, że ma troski, bo tatuś się ciągle bawi, a tatuś mówi, że ma troski, gdy mamusia się cieszy, że ma nową suknię.

— Śmieszni są ci dorośli! To znaczy, że oni się wtedy martwią, gdy się drudzy cieszą! — komentuje trzecia dziewczynka uwagi koleżanek.

Bęc! Piękna, barwna piłka skoczyła przekornie na wodę. Już ją niesie złośliwy, bystry nurt, nie zważając na rozpaczliwe wołania dzieci. Krągłe, lekkie szczęście ucieka od nich daleko, daleko, pozbawiając nadziei wesołej zabawy. Lecz łzy dziecięce obsychają szybko. Już znalazły sobie dzieciaki nową przyjemność. Postanawiają zbierać muszelki. Zaczyna się wyścig pracy, której cel jest niewiadomy.

Pora posiłku. Słońce coraz silniej dopieka, a obiadek pod cieniem przytulnej werandy będzie smakował po wesołej zabawie. Świegotliwa gromadka zasiada do stołu, z błyskiem zaciekawienia w oczkach, co też to dzisiaj będzie dobrego! Pyzate buzie przyoblekają się w powagę w poczuciu ważności chwili. Szkoda tylko, że po obiedzie następuje najprzykrzejsza chwila: przymusowy odpoczynek.

A mamusie podziwiają z dumą spryt i ruchliwość swoich pociech. Każde dziecko jest w oczach swojej rodzicielki najpiękniejsze, najzdolniejsze, najmądrzejsze. Z takim zachwytem umie patrzeć tylko matka. Gdy widzisz smutek i zadumanie na twarzy kobiety, przypatrującej się w lecie igraszkom dzieci, bądź pewny, że to kobieta, której los odmówił tego najsłodszego błogosławieństwa... Przecież dzieci są niejako dalszym ciągiem nas samych i mamy nadzieję, że to wszystko, czego w życiu nie zdołaliśmy zrealizować, uczynią to dzieci. Chcielibyśmy zrobić z nich nasze sobowtóry z tą tylko różnicą, że wszystko byłoby u nich lepsze, szlachetniejsze, mądrzejsze, jednem słowem idealne. Gdy więc zabraknie tej pociechy, jesteśmy pozbawieni jakgdyby drugiego życia.

Mab.



Trzy małe gracje wyruszyły już na plażę i hasają na piasku w promieniach czerwcowego słońca.



Bobuś dzielnie raczkuje...

DO WILNA SERCE DAJCIE...

PIEŚŃ

na pogrzeb Marszałka Piłsudskiego.

Słowa: M. Nalepka
Muzyka: A. Harasowskiego.



Urna w pociągu, zdążającym do Wilna.



Grave.

mf

Do Wil...na ser..ce daj-cie, do gro..bu ma-tki mo-jej, niech

p — mf

przy jej pro-chach dro-gich ci-szą snu się u..po-ję,

poco cresc. — accel.

Do Wil..na ser..ce daj-cie, do zie..mi mej ro-dzo-nej,

mo-że po śmierci złą-czę na..ro-dy dwa zwa-śnio-ne.

cresc. — pp



Moment przenoszenia Serca Marszałka z dworca kol. w Wilnie do Ostrej Bramy.

Do Wil..na ser..ce daj.cie... u

pro.gu O...strej Bra.my, niech spocznie tu na zaw..sze, niech bę.dzie

accel. f cresc.

za...zem zna...mi. Do Wil..na ser.ce daj.cie, gdzie Mat.ka mo..ja

ff Meno mosso. rall p diminuendo al fine

mi.ta, jak Pol.skę mam bu..do.wać, przed la.ty mnie u...czy..ta...

rall pp dim. rall. ppp



Juljusz Mieroszewski

JAK PRACUJĄ „OCZY I USZY ŚWIATA"?





Leni Riefenstahl, znana niemiecka artystka przy wywoływaniu filmu.

Reportaż filmowy z pogrzebu ś. p. Marsz. Piłsudskiego wyświetlany był w kinoteatrach Berlina jeszcze tego samego dnia w godzinach wieczornych. „Oczy i uszy świata" pracują z niebywałą szybkością, pokonując zwycięsko dwóch największych wrogów aktualności: czas i przestrzeń.

Patrząc na tygodnik filmowy przez kilkanaście minut przed rozpoczęciem się właściwego programu, przyzwyczailiśmy się uważać go jedynie za skromny dodatek do przedstawienia. W Paryżu istnieją jednak kina, które wyświetlają wyłącznie tygodniki filmowe i to bez przerwy od godziny 11 przed południem do 11 w nocy. To też chociaż znamy dokładnie planetarjum światowego filmu — nasze wiadomości o dzienniku filmowym są naogół dość skąpe, mimo, że geneza tych krótkometrażówek obfituje w znacznie większą ilość sensacyjnych i interesujących szczegółów, niż realizacja niejednego głośnego super-filmu.

Statystyki podają, że roczna konsumcja taśmy filmowej na całym świecie przekracza 500 miljonów metrów, czyli okrągło pół miljona kilometrów. Stosunkowo znaczny odsetek z tej globalnej cyfry, przypada na produkcję tygodników filmowych. „Fox Movietone News" oblicza, że jego tygodnik ogląda tygodniowo 20 miljonów ludzi. Uplastyczni się nam wyraźniej ta cyfra, gdy znów zajrzymy do statystyki. Na kuli ziemskiej istnieje 60 tysięcy kinoteatrów. Jeżeli założymy, że kina te dają przeciętnie po trzy przedstawienia dziennie, to otrzymamy miljon dwieście sześćdziesiąt tysięcy przedstawień tygodniowo. Jeżeli zaś przyjmiemy, że przeciętne kino jest w możności pomieścić 500 osób, to przekonamy się, że 30 miljonów ludzi spędza codzień przyjemnie czas w kinoteatrach świata. I dla tych to trzydziestu



Auto, na którem umieszczono pomost dla aparatu filmowego, umożliwiający zdejmowanie scen w pełnym biegu.

Poniżej: Operator filmowy pracuje nieraz w warunkach bardzo trudnych...



miljonów kręci „Metro", „Pathé", „Fox" i „Paramount" tygodniki filmowe, których „nakład" — jak to widzieliśmy — przekracza wielokrotnie najbardziej fantastyczne nakłady pism i tygodników amerykańskich, czy angielskich.

Przypatrzmy się obecnie wewnętrznej organizacji tych wytwórni. Centrale firm, produkujących tygodniki filmowe, mieszczą się wszystkie nie w Hollywood, lecz w Nowym Jorku. Poszczególne filje znajdują się natomiast niemal we wszystkich większych stolicach Europy. Jak na wstępie zaznaczyliśmy — wytwórnia musi walczyć o najwyższy stopień aktualności zdjęć, przeciw dwom olbrzymim potęgom, którym na imię przestrzeń i czas. Przestrzeń zwalcza się techniką — czas organizacją. Przedsiębiorstwa tej branży dysponują niemal wszystkiemi środkami lokomocji doby dzisiejszej, a przedewszystkiem specjalnym parkiem samochodowym i samolotowym. W wigilję dnia pogrzebu ś. p. Marszałka Piłsudskiego mieszkańcy Krakowa mieli sposobność oglądać wspaniały samochód „Foxa", należący do ekspedycji, której celem było dokonanie zdjęć z przebiegu pogrzebowych uroczystości. Takich samochodów, z kompletną aparaturą do kręcenia filmu dźwiękowego, posiada firma „Fox" 157. Te wytwórnie filmowe na samochodach pracują nietylko w Europie, lecz również w Afryce, Indjach, Japonji i w Australji.

Gdzie nie można dotrzeć samochodem ani motocyklem — gdzie nie można



przecisnąć się z małą ręczną kamerą filmową — tam wyrusza samolot. Z samolotu reporter „Foxa" dokonał fenomenalnych zdjęć, z przebiegu wstrząsającej katastrofy wielkiego, transatlantyckiego parowca „Morro Castle".

O rekord szybkości walczą nieubłaganie cztery największe, konkurujące ze sobą, wytwórnie tygodników dźwiękowych: „Metro", Pathé", „Fox", „Paramount". Jest to zupełnie zrozumiałe, jeżeli się zważy, że film spóźniony — to znaczy wyświetlony choćby o godzinę później, niż obraz konkurencji — jest stracony. Dlatego też organizacja transportu filmu jest w przedsiębiorstwach tych problemem kapitalnym i powierzana bywa z reguły specjalistom. Trzeba bowiem sobie uzmysłowić, że nawet potężny „Fox" nie wszędzie dysponuje samochodami — nie wszędzie istnieją linje lotnicze. Pakiet z taśmą filmową nie bywa nadawany jako przesyłka pocztowa. Specjaliści transportowi znają konduktorów sypialnych wagonów, maszynistów i palaczy międzynarodowych błyskawicznych pociągów, którzy za pewną opłatą, z pominięciem wszelkich formalności (zabierających drogocenny czas nawet przy najsprawniejszem urzędowaniu), przewożą pakiet filmu do odpowiedniego portu morskiego, czy lotniczego. Nawet przez ocean odbywa film podróż sposobem kombinowanym. Zazwyczaj kilkadziesiąt kilometrów przed portem przerzucony zostaje do łodzi motorowej, która w błyskawicznem tempie przewozi go do miejsca przeznaczenia na godzinę, lub dwie przed przybyciem okrętu.

W trzy kwadranse od chwili otrzymania pakietu, film jest wywołany i pocięty. Usunięto z niego wszystkie mniej interesujące miejsca i dosynchronizowano — w miarę potrzeby — muzykę, która gotowa oczekuje w laboratorjach. Jeśli na jednem ze zdjęć przemawiał angielski, czy francuski dyplomata i zaskoczony propozycją nachalnego Fox-mena, jąkał się przy wygłaszaniu do mikrofonu kilkunastu frazesów o światowej polityce, może być spokojny, że redaktorskie nożyce uczynią z niego świetnego mówcę. — W tygodnikach dźwiękowych niema jąkałów — wszystko zbędne i nudne zostaje wycięte wprawną i odpowiedzialną ręką.



Aparatura dźwiękowa wytwórni „Foxa" zmontowana na własnym samochodzie podczas zdjęć pogrzebu śp. Marszałka Piłsudskiego na Wawelu.

Taki Fox-men, czy Paramount-men, jest bardzo ważną osobistością w filmowo-dźwiękowej służbie informacyjnej. Podobnie jak dla „speców" transportowych nie istnieją żadne trudności komunikacyjne, tak dla takiego gentlemana zwarty kordon policji, czy zamknięty dworzec, nie może stanowić przeszkody. Musi on wszędzie umieć się dostać, zdobyć minutę czasu u Mussoliniego czy księcia Walji, mieć nieomylny węch aktualności i niebywałą przytomność umysłu. Lecz najważniejszy i obarczony największą odpowiedzialnością jest właściwy twórca reportażu — „człowiek, który kręci". Dzięki zimnej krwi i niesłychanemu nerwowi zawodowemu jednego z nich, posiadamy wierny obraz przebiegu zamachu marsylskiego.

Życie tygodników filmowych nie jest zbyt długie. Są one przecież ustawicznie biegnącą historją świata. Najsensacyjniejsza nowość po kilku tygodniach znika z ekranów i wędruje do archiwum. Po kilkunastu latach, stare tygodniki nabierają ceny, która wzrasta z każdym upływającym rokiem. Emocjonujący reportaż zaczyna nabierać charakteru dokumentarnego, będąc zarazem źródłem historycznem, o niezbitej sile dowodowej. Za pół wieku, zastosowanie archiwalnych materjałów filmowych osiągnie rozmiary, które dziś jedynie w przybliżeniu da się przewidzieć. Jakież nieocenione usługi oddadzą zbiory tygodników filmowych przy montowaniu filmów historycznych. Gdy, powiedzmy po 150 latach pokoju, zechce się światu w roku 2100 zrealizować epopeję filmową o wielkiej wojnie — reżyserzy ówcześni będą mogli wmontować w osnowę filmu autentyczne zdjęcia wszystkich wybitniejszych osobistości minionego stulecia.

Poprzednie wieki odchodziły w przeszłość, pozostawiając po sobie ślad w książkach i portretach. I słowo i pendzel raczej upiększają i idealizują; my natomiast żyjemy i umieramy przed krytycznym i chłodnym objektywem. Takiemi bowiem są „oczy i uszy świata", które patrzą na wiek dwudziesty.

TRZY KORONY.



Nad leżącą w sercu Pienin Szczawnicą wznoszą się powszechnie znane szczyty, Trzy Korony. To też dla zjeżdżających co roku kuracjuszy, do znanych leczniczych wód szczawnickich, piękna i malownicza okolica wraz ze swym słynnym przełomem Dunajca stanowi jeszcze jeden ważny czynnik uzdrawiający.

KSIĄŻĘ z „trente-et-quarante”

Powieść Williama J. Makina. 15 Tłumaczenie autoryzowane Jana Maleszewskiego

ILUSTROWAŁ J. M. BRZESKI

— Głowa do góry, wszystko się uda — pocieszał ją trzymając silnie za ramię. Sam minę miał nadzwyczajnie pewną siebie i oboje przechodzili wolnym krokiem przez salę nie budząc bynajmniej wrażenia, że ktoś ich ściga. Zachowanie ich było tak pod tym względem łudzące, że jedna z pań obecnych na sali balowej, uprzejmie kłaniając się księciu żegnała go jak w zwykłych warunkach, mówiąc:

— Życzę dobrej nocy Waszej Wysokości!

— Dobranoc pani — odparł uprzejmie Chesham z lekkim uśmiechem.

Dochodzili już do drzwi. Chesham w dalszym ciągu, był przygotowany na atak. W każdym razie był zdecydowany na wszystko i postanowił torować sobie drogę choćby pięściami.

Ale nie spotkał nikogo na swojej drodze, gdyż na pierwszy alarm cała służba rozbiegła się po domu.

— Nie spieszmy się — ostrzegał Chesham swoją towarzyszkę — gdy zauważył, że przyspiesza kroku chcąc jak najprędzej wydobyć się z tego niesamowitego domu.

W końcu doszli do drzwi prowadzących na ulicę. Stał przy nich portjer w liberji, a na widok jego Chesham zacisnął pięści. Zachowanie się jednak tego służącego ambasady było raczej życzliwe.

— Czy zawołać pański samochód? — spytał się uprzejmie.

— Proszę.

— Nazwisko pańskie, Sir?

— Książę Sergjusz Łobanow!

Donośnym głosem krzyknął w stronę zgromadzonych przed ambasadą aut, nazwisko księcia. Echo odbiło je wzdłuż Park Lane, a zanim dobiegło do końca sznuru aut, stojących jak żołnierze na warcie, wspaniała limuzyna zajechała przed ambasadę. Z wielką uciechą Helena zauważyła swego ojca w aucie.

— Ojciec! — wyszeptała.

Chesham przycisnął mocniej jej ramię, zeszli schodami ku samochodowi, a portjer otworzył drzwiczki limuzyny. Pomógłszy Helenie wsiąść, Artur wkrótce sam siedział obok niej.

— Do domu — rzucił krótko szoferowi.

Limuzyna ruszyła z miejsca.

— Jak ci się to udało na Boga — zapytał młodego człowieka zdziwiony do głębi i uradowany Szef. To wspaniały wyczyn!

Mówiąc te słowa gładził Helenę po włosach, podczas gdy ona z zaufaniem opierała się o ramię ojca.

— Ja zupełnie nie ponoszę zasługi — odparł książę. Zdołaliśmy uciec jedynie z pomocą jakiegoś młodego człowieka, który zjawił się we właściwej chwili z rewolwerem w ręku. Następnie wstrzymał on bandę ambasadora, a myśmy w międzyczasie mogli uciec. A gdy jeden z siepaczy Churta chciał zagrodzić nam drogę, ów zagadkowy młody człowiek wpakował mu kulę w ciało z taką łatwością, jak się strzela do pomalowanych figur na jakimś jarmarku.

Szef ukazał objawy wzruszenia.

— O to zupełnie nie dobrze. Czy ten ranny umarł?

— Robił wrażenie trupa — odparł Chesham. Chociaż oczywiście nie badałem go.

— Ta okoliczność bardzo komplikuje sprawę — zauważył Marek Mann.

Artur wzruszył ramionami.

— No, przynajmniej wydobyliśmy się z rąk tej korawiańskiej bandy!

— Tak panu się tylko zdaje — odrzekł niechętnie Szef.

— Nie rozumiem co pan chce powiedzieć... pytał Artur.

— Czyż pan nie rozumie — ciągnął dalej ojciec Heleny nieco niecierpliwie — że wydostawszy się z rąk spiskowców ambasadora, wpadnie pan w przeciągu godziny w ręce Scotland Yardu?

— Ale przecież my nie popełniliśmy żadnej zbrodni! — protestował Chesham.

— Tak, ale za to ten szaleniec, który was bronił, zastrzelił człowieka. O ile się orjentuję, ambasador całą winę zwali na pana. Ale kimże u licha może być ten młody człowiek?

— Czy nie jest to ktoś z naszych?

— Ktoś z naszych ludzi?

— Oczywiście, z klubu Piratów!

Marek Mann potrząsnął głową.

— Nikogo nie posłałem tej nocy do ambasady, — przyznał się. Ktokolwiek wam pomagał musiał być albo warjatem, albo też szaleńcem.

— On wygląda raczej normalnie — broniła go Helena, — ma jasne włosy i miły uśmiech na twarzy.

— Mówicie o nim, jakby chodziło o jakiegoś bohatera filmowego, — rzekł Mann.

— To też tak wygląda, — dodał od siebie Chesham.

Auto stanęło przed domem na Piccadilly. Była północ. Przed chwilą skończyły się teatry i widowiska, to też ulicami płynęła obfita fala publiczności z Mayfair. Policjant stał przed drzwiami domu.

Szef wyciągnął rękę w kierunku drzwiczek i zawahał się. W tejże chwili policjant spokojnie uszedł kilka kroków. Marek Mann odetchnął z ulgą.

— Pomóżcie mi wysiąść — zwrócił się do Heleny i do Artura. I udajemy się natychmiast do mojego pokoju, musimy zaraz wykombinować jakiś plan. Czuję, że nadciąga burza.

Z pewną trudnością wysiadł Szef z auta i wszedł do domu. Kilka osób przechodzących przypatrywało się tej scenie. U drzwi domu witał nocnych podróżnych Geoffrey Winterton, sekretarz Szefa, a widząc Helenę zdrową i całą wydał okrzyk zadowolenia.

— Chwała Bogu, że wydostaliście się z rąk tych bandytów — rzekł uradowany, a zbliżywszy się do Heleny ujął ją w ramiona, co doprowadzało zawsze Cheshama do ostatecznej złości.

— Dziękuję panu, Geoffrey — odparła śmiejąc się Helena. Cieszę się naprawdę szczerze, że już wróciłam. Były chwile, kiedy wątpiłam już, że dotrzymam panu obietnicy.

— Czy pani myśli o tańcu? — spytał Winterton.

Potwierdziła kiwnięciem głowy.

— Świetnie, dlaczego nie mielibyśmy dzisiaj zatańczyć! — zapytał. Przecież dzisiaj jest dancing, jak zwykle w Bandon!

Słysząc te słowa twarz Artura przybrała wyraz niezadowolenia. Helena uśmiechnęła się widząc ten skutek słów Geoffrey'a.

Podczas gdy rozgrywała się ta drobna scena zazdrości, dał się słyszeć rozkaz Szefa, który zasiadł jak zwykle w swoim fotelu.

— Nigdzie nie pójdziecie tej nocy tańczyć, lecz przyjdziecie do mojego pokoju. Muszę się zająć tą sprawą, a to jest praca poważna i wysoce niebezpieczna.

Nie można było niezrozumieć tego wibrującego głosu: Szef zaczynał walkę o olbrzymią fortunę.

ROZDZIAŁ XXI.

W poszukiwaniu zabójcy.

Usiadłszy w swoim fotelu Szef rozpoczął obmyślanie planu kampanji. Rozglądał się po swojem otoczeniu, które tworzył stary lokaj, Juljan, Winterton, Helena i Artur, jak generał, chcący się zorjentować w siłach, jakimi rozporządza zanim przystąpi do ataku. Oczy Szefa były żywe i pełne energji, twarz skupiona. Chociaż był kaleką, umysł jego pracował sprawnie.

— Już za pół godziny może się coś wydarzyć, toteż musimy prędko zabrać się do dzieła. W drodze z ambasady do domu wysilałem całą moją pomysłowość, aby coś wymyśleć. Starałem się postawić na miejscu przeciwnika i zdać sobie sprawę cobym robił, gdybym grał jego rolę.

— Co oni mogą teraz przygotowywać? — zapytał Chesham.

— Chcą dostać pana w swoją moc i to wszelkiemi sposobami, i jaknajprędzej — odparł spokojnie Szef. Omylili się co do własnych obliczeń. Lecz teraz posiadają sposób, który pana lepiej jak ktokolwiek z ludzi może wciągnąć w ich sieć.



Zdjąwszy łańcuch z drzwi, otworzył je szeroko...

— Co jest tą nadludzką mocą? — zapytał zdziwiony Artur.

— Ten trup poprostu, — odrzekł wolno Marek Mann. — Ten zamordowany. Po zastrzeleniu tego człowieka w ambasadzie mogą wezwać Scotland Yard i kazać pana zamknąć w pierwszej lepszej celi więziennej.

— Ależ Artur go nie zastrzelił — protestowała Helena. — To ten młody człowiek, który nam pomagał.

— Nie wiemy kim jest ten młody człowiek, — zawyrokował ojciec Heleny. — I nie przypuszczam, aby ambasada korawiańska miała co do tego jakieś wątpliwości. Postarał się dla nich o trupa, który wystarcza, aby w tę całą grę wciągnąć Scotland Yard i puścić całą sforę detektywów w pańskie ślady.

— Byłoby mi bardzo przykro, gdybym się musiał spotkać z inspektorem Evansem, — oświadczył niedoszły książę Korawji.

— I to wszystko stało się w chwili kiedy pańska wolność jest zasadniczo potrzebna dla naszej sprawy. Lada chwila wybuchnie w Korawji rewolucja. Lecz jakież szanse może ona mieć, skoro książę Sergjusz Łobanow nie może nią kierować, kiedy znajdzie się poprostu w więzieniu pod zarzutem zabójstwa i...

— Ależ ojcze, nie uprzedzaj faktów, — przerwała mu Helena. — W pokoju znajdowało się jeszcze kilku ludzi, którzy widzieli, że nie Artur, a ten młody człowiek strzelał do sekretarza ambasadora.

— Gdyby ich było nawet pięćdziesięciu, moja droga, — odparł poważnie jej ojciec — nie stanowiłoby to żadnego dowodu. Jeżeli o to chodzi, to na rozkaz Józefa Churta przysięgną przed sądem co tylko on zechce. Jestem bowiem przekonany...

Hałaśliwy dzwonek telefonu przerwał Mannowi dalsze wywody.

— Niech pan podejdzie do telefonu, — rozkazał Wintertonowi.

Młody człowiek podszedł do aparatu i zdjął słuchawkę.

— ...Tak..., zgadza się... Tak, Piraci. Słucham.

Zwracając się do Szefa rzekł:

— To Biały Oczy mówi. Znajduje się w jakiejś kabinie telefonicznej. •

— Jakie wiadomości? — zapytał z napięciem Szef.

Winterton znów przytknął słuchawkę do ucha, śledząc z zainteresowaniem rozmowę. Po kilku słowach twarz jego przybrała wyraz wielkiego niepokoju.

— Dobrze. Doniosę o tem Szefowi — rzekł, kładąc słuchawkę na widełki.

— Policja idzie — rzekł lakonicznie.

— Tak jak przeczuwałem — potwierdził Marek Mann. — Czy szukają naszego młodego przyjaciela? — zapytał, wskazując na Cheshama.

Winterton kiwnął potakująco głową.

— Ambasador oskarżył go o popełnienie zabójstwa dzisiejszego wieczoru w ambasadzie. Białe Oczy słyszał jak policja podawała nasz adres szoferowi Latającego Oddziału.

— Przeklęta sprawa! Ma pan jakie trzy minuty czasu, aby się ulotnić — rzekł Szef do Artura. — Geoffrey, proszę mu dać trochę pieniędzy, prędko! Znajdzie pan je w mojem biurku.

— Dokąd pan mi radzi się udać? — zapytał Chesham, zbity nieco z tropu, temi przygotowaniami.

— Dam panu adres — odparł Mann, gryzmoląc kilka słów na kawałku papieru. — Musi się pan zaraz udać w to miejsce, które jest zupełnie pewną kryjówką. Niech się pan tylko nie próbuje ztamtąd wydalać. Niech pan pamięta o tem, że oskarżono pana o zabójstwo, a jeżeli chodzi o tropienie człowieka, to Scotland Yard nie zna przelewek.

Mówiąc te słowa, nacisnął guzik elektryczny i wręczył Cheshamowi kartkę. Schowawszy pieniądze, które dał mu Winterton, czekał na dalsze rozkazy ze strony Szefa. W pokoju zjawił się wkrótce Scraggs.

— Scraggs, chciałem ci...

Szef nie dokończył rozpoczętego zdania, gdy dał się słyszeć hałas zajeżdżającego auta. W kilka sekund później w cichym domu w Piccadilly odezwał się ostry głos dzwonka.

— Czyżby policja? — zapytał Marek Mann.

Juljan odsunął nieco firankę, aby sprawdzić kto wysiadł z auta. Wkrótce odwrócił się do zebranych, kiwając potakująco głową.

— Czy mam ich wprowadzić, sir? — zapytał się Szefa, przybierając pozę człowieka, który zamierza obronić dom przed napastnikami.

Marek Mann potrząsnął głową.

— Nie, — odparł szybko. — Pan Chesham ich wprowadzi.

— Ja? — zapytał wysoce zdziwiony Artur.

— Tak, w liberji Craggs'a. Prędko, zmieniajcie ubrania. Niema chwili do stracenia. A teraz niech pan zejdzie na dół, otworzy drzwi i wprowadzi ich tutaj. A potem niech pan zaraz wyjdzie z domu, no i szczęśliwej podróży. Jak tylko pan się znajdzie w kryjówce, proszę zadzwonić.

Podczas gdy Szef wydawał swoje polecenia, Chesham przebrał się w liberję lokaja. Zdjął błyszczący order ze swej szyji, a nowy strój dawał mu wygląd typowego kamerdynara z wielkiego domu. Rzucił okiem jeszcze do lustra i skierował się w stronę drzwi.

— Au revoir! — rzucił na odchodnem.

— Powodzenia, młody człowieku — odrzekł Szef.

— Arturze! — krzyknęła Helena, widząc, że towarzysz jej niedoli opuszcza dom idąc w niewiadomą przyszłość. Artur odwrócił głowę. Helena postąpiwszy ku niemu, zarzuciła mu ręce na szyję i ucałowała go.

— Uważaj na siebie. Zrób to dla mnie.

Chesham opuszczając progi Piratów wynosił wspomnienie jej szarych oczu i czerwonych warg, które spoczęły na jego ustach. Pokrzepiony na duchu zbiegł schodami, nie bojąc się już przykrego spotkania. Zdjąwszy łańcuch z drzwi, otworzył je szeroko. Przed domem stało trzech detektywów w cywilnych ubraniach i dwóch policjantów w mundurach.

— Co pan, u licha, tyle czasu potrzebuje na wpuszczenie nas? — zauważył niechętnie jeden z detektywów.

— Bardzo mi przykro, sir, — tłumaczył się Chesham.

Pięciu mężczyzn znalazło się w hallu.

— Czy tu mieszka książe Korawji, Sergjusz Łobanow? — zapytał jeden z nich.

— Jego Wysokość przybył właśnie pięć minut temu i kazał mi dbać o to, aby mu nikt nie przeszkadzał.

— Ach tak — wyrwało się jednemu z detektywów. — Niestety będziemy musieli mu przeszkodzić. Gdzie obecnie się znajduje?

(Ciąg dalszy nastąpi).

MOŻLIWOŚCI WEEK-ENDOWE.



Sportowy kostjum (na lewo) i sportowy komplet (na prawo), wykonane z modnych gatunków wełny, bardzo praktyczne do podróży czy dalszej przechadzki.

Praca zawodowa, obowiązki domowe, czy też towarzyskie lub nawet wyższego rzędu obowiązki reprezentacyjne pań z dyplomacji, wszystko to zatrzymuje piękne panie w mieście, utrudniając lub nawet uniemożliwiając korzystanie w szerszej mierze z błogosławieństw sportu i swobody na świeżem powietrzu. I tu przychodzą nam efektywnie z pomocą unowocześniające się coraz bardziej formy życia, które idzie stale i konsekwentnie naprzód i dostosowuje zwolna obowiązki do koniecznej równowagi z systemem wypoczynkowym.

Jedno słowo wynalezione przez naród najbardziej dbały o równowagę życiową — przez Anglików — jest kwintesencją wszystkiego, o czem może zamarzyć każdy mieszczuch, podkładając pod treść tego słowa pojęcia dla siebie najbardziej upragnione, określające sposoby przepędzenia na wolnem powietrzu, wolnych od pracy końcowych dni tygodnia.

Week-end!

Szkoda, że nie mamy jeszcze w języku polskim równie lapidarnego i dobrego określenia na pojęcie objęte słowem „week-end". Polska „końcówka", to jednak za słabe i za blade słówko...

Która z pań dysponuje autem a ma przytem swoją willę poza miastem, wyjeżdża oczywiście na własne letnisko. Inna poleci samolotem nad morze, aby na słonecznej plaży zaczerpnąć ożywczego tchnienia morskiej dali. Zwolenniczki jazdy konnej dosiędą ulubionego rumaka, by na jego grzbiecie dać się ponosić w upragnioną dal. Słowem każda z pań oddaje się swej ulubionej rozrywce i sportowi, który jej najbardziej odpowiada, znajdując w tem nietylko chwilową przyjemność, ale konieczne odprężenie nerwów, przywrócenie równowagi, zachwianej tylekroć przy każdym warsztacie pracy.



Skórzany komplet — marzenie pań, odbywających jazdy samolotowe.





Na lewo: Dwa odmienne kostjumy do jazdy konnej: czarnobiały z melonikiem i lakierowanemi butami, i lekko kremowy z miękim jasnym kapeluszem.

A kogo nie stać na kosztowne akcesorja sportu i podróży, temu stoją otworem polskie drogi i bezdroża, po których coraz częściej spotyka się grupy osób, uprawiających turystykę pieszą, jakże pełną uroku i pokrzepiającą fizycznie i moralnie, jeżeli przystępuje się do niej z pewnem przygotowaniem a rozsądnie.

Wystarczy wtedy najprostszy strój, grube obuwie na niskim obcasie i plecak na najkonieczniejsze drobiazgi.

Niech żyje week-end! **K. J.**

P R Z E P I S Y

odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

JAJA W GARALECIE. 50 dkg mięsa wieprzowego i cielęcego (pół na pół) przemleć dwa razy, dodawszy bułeczkę, rozmoczoną w mleku; dodać jajko i dwie łyżki mleka, soli i pieprzu, ucierać potem pilnie aż mięso zbieleje. W farsz ten zawija się jaja, ugotowane na twardo, panieruje w mące z tartą bułką i smaży jak pączki w mieszanym tłuszczu. Ostudzone, przekroić wzdłuż, ułożyć na szklanej salaterce, ubrać kaparami i różnemi jarzynkami, poprzednio przez parę godzin marynowanemi w occie, zieloną sałatką, rzodkiewką i pietruszką. Tak przybraną potrawę zalewa się galaretą sporządzoną z 10 listków żelatyny, rozpuszczonej w pół litrze gorącej wody, zaprawianej kostką bulionu i troszką soku cytrynowego. Płyn żelatynowy przelewać należy przez sitko, aby galareta była gładka. Wstawić salaterkę na 12 godzin do lodu.

OMLET PIKANTNY. 4 jaja, 2 łyżki mleka, 2 łyżki mąki, rozbić dokładnie z solą i białym pieprzem, dodać 4 łyżki tartego sera (krajowy ementaler), smażyć szybko na silnym płomieniu omlety, posypać parmezanem i zwijać. Do tego sałata zielona z śmietaną.

PASZTET Z ZIEMNIAKÓW. 2 żółtka utrzeć z łyżką masła, dodać 10 dkg siekanej szynki lub pozostałej pieczeni, 35 dkg świeżo gotowanych ziemniaków, pokrajanych na płatki, parę łyżek śmietany i tęgą pianę z 3 białek. Ogniotrwałą miseczkę, natartą masłem, napełnić masą, skropić masłem i wstawić do gorącego pieca na pół godziny. Zielona sałata ze słoninką jako dodatek.

PIECZONE GOŁĄBKI. Oczyszczone gołąbki naszpikować gęsto młodą słoniną i udusić na maśle. Wątróbkę i resztę podróbek udusić osobno z cebulką, zemleć w młynku i rozetrzeć na gorąco z całem jajkiem. Czerstwą bułkę skrajać na okrągłe płatki, przeciągnąć przez mleko z jajkiem, osmażać z obu stron na maśle, smarować przygotowanym farszem, obłożyć na półmisku przekrojone na połówki gołąbki i wstawić jeszcze raz na kilka minut do gorącego piecyka.

GOŁĄBKI LUB KURCZĘTA Z SARDELAMI. Ile gołąbków, tyle sardelek oczyścić z ości i utrzeć z 5 dkg masła (na 2 pary gołąbków). Utartem masłem sardelowem naciera się je zewnątrz i wewnątrz, zostawia przez 2 godziny w chłodzie, następnie szpikuje młodą słoninką i dusi na drobno usiekanej cebulce. Dodatek: małe knedelki z tartej bułki.

SZPARAGI W SOSIE jako dodatek do mięsa z rosołu lub twardych jaj. Drobne szparagi (nie nadające się do podawania z masłem), pokrajane na małe kawałki gotuje się w osolonej wodzie z łyżeczką cukru. Z 4 dkg mąki i tyleż masła usmażyć jasną zasmażkę, zalać ją troszką mleka, wodą z pod szparagów rozprowadzić, sokiem cytrynowym i troszką białego pieprzu podprawić i włożyć ugotowane kawałki szparagów, aby chwilkę ciągły na brzegu blachy.

SOS REMULADOWY do ryb pieczonych lub gotowanych: 4 dkg roztopionego masła, 3 żółtka, łyżeczkę musztardy, pół szklanki rosołu, sól, sok cytrynowy, odrobina cukru do smaku, rozbić dobrze, potem ubijać na parze aż zgęstnieje. Podaje się osobno w sosjerce.

BUDYŃ Z BUŁEK Z SOSEM CZEKOLADOWYM. — 4 małe bułki otrzeć ze skórki, rozmoczyć w mleku, potem wycisnąć i przetrzeć przez sito. Osobno uciera się 7 dkg masła z 4 żółtkami i 7 dkg cukru, dodaje przetartą bułkę, pianę z trzech białek oraz 3 łyżki tartej suchej bułki i parę utłuczonych gorzkich migdałów. Wymięszaną masę nakłada się do formy budyniowej i gotuje na parze trzy kwadranse. Sos: 8 dkg czekolady gotuje się w 1/4 l mleka, podbija żółtkiem i łyżeczką mąki, mięsza na gorąco z pianą z 2 białek i polewa wyrzucony na głębszy półmisek budyń, pokrajany w cienkie plastry.

TORT Z NALEŚNIKÓW. Pół litra mleka (pół na pół z wodą) rozbija się z 2 jajami, dodaje parę łyżek gładkiej mąki i wysmaża naleśniki, z obu stron opiekane. Formę tortową smaruje się masłem, układa naleśniki, przesypując je orzechami z cukrem. Drugą warstwę nakłada się konfiturami, następną znów orzechami. O ile są białka ubija się pianę z cukrem i dodaje na każdą warstwę po trosze. Ostatnią warstwę stanowić musza naleśniki. Legominę polaną masłem wstawia się do piecyka na pół godziny. Dobra podana na gorąco lub zimno, w pierwszym wypadku podaje się do niej sos waniljowy lub chodean.

ZRAZY CIELĘCE FRANCUSKIE. W Nrze 14 „Asa" zaszła omyłka: w wierszu 5-tym ma być „tartej cebulki" nie „bułki" i „smażonej", a nie „suszonej" bułeczki.

Sc. Ko.

JAK PODAWAĆ CHŁODZĄCE NAPOJE.



W upalne dni lata, podobnie jak podczas karnawałowych zabaw, podaje się często rozmaite napoje chłodzące, kwasy owocowe itd. Najładniej wyglądają w kryształowych wazkach z małemi szklaneczkami, w rodzaju tych, jakie reprodukujemy na powyższem zdjęciu.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI.

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone

Święta rzym.-kat. i żyd.	Tydzień 24 — CZERWIEC — Dni 30
Niedziela **9** Zielone Święta, 8 Siwan	Zupa koprowa z śmietaną. Omlet z pieczarkami. Gołąbki pieczone w sosie sardelowym z knedelkami z bułki. Sałata zielona. Suflet z rabarbaru. Kolacja: Zimna polędwica z sałatką z młodych jarzynek, na surowo.
Poniedziałek **10** Poniedz. Ziel. Św., 9 Siwan	Rosół z francuskiemi kluseczkami. Sztuka mięsa z sosem szparagowym. Pieczeń cielęca z sałatą. Tort naleśnikowy. Kolacja: Pieczarki z jajami.
Wtorek **11** Barnaby ap., 10 Siwan	Zupa cytrynowa z grzankami. Pasztet z ziemniaków. Zrazy bite z kaszą. Sałata. Kompot lub bliny z konfiturami. Kolacja: Jaja w galarecie.
Środa **12** Onufrego S. dn., 11 Siwan	Krupnik ze śmietaną. Krokiety z grzybami. Gołąbki pieczone. Sałata. Budyń z bułek w czekoladzie. Kolacja: Kasza tatarczana z kefirem.
Czwartek **13** Antoniego z P., 12 Siwan	Zupa szparagowa z grzankami. Budyń szpinakowy z smażonemi ziemniakami. Befsztyki garnirowane. Kompot mieszany. Kolacja: Omlety pikantne z sałatą.
Piątek **14** Bazylego † S. dn., 13 Siwan	Chłodnik z botwinki. Pieczona ryba z sosem remuladowym. Placek drożdżowy z serem. Kolacja: Jaja w sosie szparagowym.
Sobota **15** Wita † S. dn., 14 Siwan	Zupa pomidorowa czysta. Kotlety z ziemniaków z sosem cebulowym. Paprykarz z ryżem. Krem z rabarbaru. Kolacja: Makaron z parmezanem.

Życie towarzyskie i artystyczne

„Poskromienie złośnicy".



Teatr Narodowy w Warszawie, który zawsze odznaczał się nadwyraz artystycznem opracowaniem wystawianych sztuk, wznowił ostatnio słynną komedję Szekspira „Poskromienie złośnicy". Oklaski publiczności zbierali za świetną, artystyczną grę przedewszystkiem p. Marja Modzelewska, grająca rolę złośnicy Kasi, jakoteż p. Nina Świerczewska, w roli łagodnej Bianki, oraz p. Dominiak w roli Baptysty, kupca z Padwy. (na zdjęciu od lewej).

Sztuka otrzymała jak zwykle staranną oprawę dekoracyjną i zaznaczyła się znakomitą reżyserją.

Fot. Brzozowski — Warszawa.

Jubileusz Szczawińskiego.



Znany na deskach teatrów stołecznych i były dyrektor operetki warszawskiej p. Władysław Szczawiński, obecnie artysta teatru operetkowego „Lutnia" w Wilnie, obchodził w ub. m. jubileusz 40-letniej pracy scenicznej.

W dniu jubileuszu teatr „Lutnia" wystawił efektowną operetkę Falla p. t. „Rozwódka", w której znany artysta zbierał huczne oklaski. Karjera artystyczna Władysława Szczawińskiego rozpoczęła się w operetce w Moskwie; następnie występował on w Kijowie i Charkowie, później zaś pracuje od r. 1918 w teatrze Stanisławskiego.

Po powrocie do kraju p. Szczawiński prowadzi w Warszawie własny teatr operetkowy, w którym realizuje wystawienie wielu wartościowych operetek. Podczas swej karjery artystycznej zyskał on sobie nietylko sympatję publiczności, ale szczere uznanie sfer teatralnych, ceniących w nim swoistą werwę i zdolności reżyserskie. Przeniósłszy się z Warszawy do Wilna p. Szczawiński zreorganizował operetkę wileńską, która odbywa co pewien czas gościnne występy.

Fot. Cieszewski — Wilno.

Prezydent Estonji przyjmuje hołd polskiej młodzieży.

Z okazji pobytu swego w Truskawcu, prezydent Rzeczypospolitej estońskiej Paets, stał się przedmiotem spontanicznych manifestacji sympatyj młodzieży okolicznej.

Dnia 3 maja zebrało się przed willą „Goplaną" w której zamieszkiwał p. prezydent Paets, 3000 młodzieży szkolnej z Zagłębia naftowego, przybyłej z Drohobycza, Borysławia, Truskawca i Stebnika celem złożenia hołdu dostojnemu gościowi.

P. prezydent przyjął sympatyczną manifestację ze szczerą radością tem więcej, że jest wielkim przyjacielem Polski, czego niejednokrotnie dał dowody. Przybycie głowy państwa zaprzyjaźnionego narodu ożywiło znacznie Truskawiec, dokąd udało się szereg wybitnych osobistości tak ze sfer rządowych, jak też i towarzyskich.

Zdjęcie nasze przedstawia pana prezydenta Estonji w otoczeniu dzieci, ubranych w piękne stroje ludowe, które przybyły w deputacji do willi „Goplana".

Fot. Springer — Drohobycz.



LALKI NIE DLA DZIECI.





Lalka wystawowa, która już znalazła pomieszczenie w Muzeum sztuki stosowanej w Lipsku.

Epokę naszą, która uwolniła kobietę z okowów gorsetu i innych tortur, zalecanych przez sztukę podobania się, porównujemy z upodobaniem do czasów słonecznej Hellady, kiedy to strój luźny, malowniczy w bogactwie fałdów, pozwalał na normalny rozwój kobiecych kształtów, a konserwowały je ćwiczenia gimnastyczne na wolnem powietrzu. Wyobrażenia klasycznej budowy ciała pięknych Greczynek, zakute w marmury mistrzowskiemi dłońmi, pozostawili nam greccy rzeźbiarze. Junona, Diana, Psyche lub najbardziej ze wszystkich znana, Wenus Milońska, oczarowują nas, gdy przechodzimy amfilady sal paryskiego Louvru. Oczarowują i... onieśmielają. Bije z ich kamiennych twarzy głębia myśli, personifikujących do dziś dnia ideały kobiet tej, jakże dalekiej od nas, epoki.

I nikt już potem nie poświęcił kobiecie tyle miejsca w rzeźbie!

Odnajdziemy przedstawicielki różnych narodowości i warstw społecznych dopiero w malarstwie. Kto zajdzie do wielkich galeryj obrazów, zobaczy kolejno wszystkie epoki, odzwierciedlone w szatach niewieścich. A choć to nie wyobrażenia trójwymiarowe, niemniej dają plastyczny obraz zmian, jakim podlegała na przestrzeni wieków sylwetka kobieca.

Jakże wielka dzieli nas odtąd przepaść. Przepaść, wytworzona przez wielką wojnę, po której wyszła kobieta innym człowiekiem niemal, stojąc ramię przy ramieniu z mężczyzną, w każdej dziedzinie pracy zawodowej.

Musiały prysnąć wiekowe kajdany gorsetu!

Życie postawiło nowe wymagania!

Walka o byt dała kobiecie nowocześnie pojętą broń... pokojową — jej własną urodę, z obowiązkiem doskonalenia i konserwowania jej jak najdłużej. W służbie tej idei poszły studja naukowe, a jako sprzymierzeniec stanął zapomniany i wyklęty od czasów greckich — sport. Z jego pomocą powstał na naszych oczach istny cud — współczesna kobieta.

Smukła, wysportowana, uduchowiona przez rozszerzony zakres pracy umysłowej, przedstawia się kobieta w nowym typie rzeczywiście niezmiernie korzystnie. I co szczególnie uderza, to fakt, że nie musi być przytem skończoną pięknością, aby się podobać i być ciekawem zjawiskiem w życiu domowem, towarzyskiem, czy przy pracy zawodowej. Byle w oczach i na czole jaśniała myśl!

I znów w rzeźbie współczesnej nie znajdujemy odpowiednika urody kobiet naszych czasów, pozostanie natomiast w dziedzinie malarstwa. Smukłe ich sylwetki przekaże następnym pokoleniom... lalka — nie dla dzieci — woskowa figura, zwana manekinem, służąca w domach mody do przymierzania kreowanych toalet, jakoteż do urządzania wystaw wielkich magazynów.

Ród manekinów wywodzi się z dość arystokratycznych wyżyn.

Kiedy jaśniał najpełniejszym blaskiem dwór Króla Słońca, kiedy z Wersalu szły nakazy mody, dyktowane królewskim kaprysem, a oczy kobiet poczęły zwracać się na Paryż, jako na wyrocznię w dziedzinie strojów, okazała się konieczność przewożenia każdej nowej kreacji do tych miast, które pragnęły naśladować przepych strojów dam dworu Ludwika XIV.



Zastygłe w wiecznym uśmiechu manekiny z papierowej masy, oczekują swej kolei przy modelowaniu sukien.

Poniżej: Pracownia manekinów. Poszczególne części składowe, odlane z wosku czy specjalnej masy, łączy się, wyrównuje, poleruje, aż lalka stanie, niby żywa.





3. *Praca nad polerowaniem i nadawaniem inkarnacji manekinowi.*

Kto wpadł na pomysł wykonania woskowej lalki na ten cel przeznaczonej, nie udało się później ustalić. W każdym razie, od tych czasów począwszy, wyjeżdżają takie woskowe elegantki paryskie w podróże nietylko dokoła Europy, ale dokoła świata i dały początek osobnemu przemysłowi, poświęconemu wykonywaniu lalek z wosku i masy papierowej na użytek królestwa mody. Dalekie od swego pierwowzoru, udoskonalone w budowie postaci i w ruchu, przemawiające coraz ciekawszemi rysami twarzy, stanowią lalki woskowe doskonały przyczynek do propagandy w dziedzinie mody. Przedstawiają nietylko piękne panie, ale mężczyzn i dzieci, ozdabiają okna sklepowe i wnętrza domów mody, a pełne wdzięku ich postacie zdają się żyć jakiemś własnem, indywidualnem życiem, gdy wieczorem padnie na nie blask elektrycznych świateł. Powstałe z naśladownictwa żywych istot, przewyższyły je niejednokrotnie szlachetnością linji i wytwornem ułożeniem, tak że dziś stały się znów wzorem dla rzesz kobiecych, oglądających niedościgłe a wyidealizowane typy lalek-sobowtórów, by na ten sam sposób kształtować, przez odpowiednie zabiegi, swą urodę. A że typ ten jest bardzo pociągający, świadczy najlepiej fakt, że i gwiazdy filmowe anektują go na swój użytek. — Także i malarstwo portretowe skłania się często w kierunku idealizowania postaci kobiecych na wzór typu smukłej wytwornej w ruchach i miękkiej w linjach lalki woskowej. Czyż mogłyby się panie o to gniewać?

Ajaks.





1. Odlew lalki schnie po wyjęciu z formy.

2. Odlew lalki przesychaw formie po odlaniu.



4. Grupa manekinów na międzynarodowej wystawie budapeszteńskiej.



Czas urlopów się zbliża, pora też pomyśleć o wszystkiem, co dotyczy wyjazdów na letnisko. Pani domu nie może opędzić się kłopotom. Czy też czego nie zapomniała?! Jakież to sprawy były do załatwienia? Dzieci do szkół zapisane, mieszkanie wynajęte na wilegiaturę, garderoba załatwiona. Cóż jeszcze? Przychodzimy Pani domu z pomocą i podajemy kilka praktycznych wskazówek, biorąc na siebie rolę notatnika. A więc:

PRELUDJA WYJAZDOWE...

I. Przejrzeć polisę od włamania, ognia etc. ewentualnie zapłacić zaległości, kwity dać do przechowania w pewne ręce przyjaciół, pozostających na miejscu. Również klucze od mieszkania — (zwykle jest w domu kilka egzemplarzy) — należy na wszelki wypadek zostawić u przyjaciół lub u dozorcy, wraz z adresem letniskowym wyraźnie wypisanym — nie zadowolić się powiedzeniem „już zapamiętam", może się to grubo zemścić w nagłych wypadkach, gdy z braku adresu nie można przesłać zawiadomienia.

II. W przeddzień wyjazdu podać nowy adres w administracji swego pisma oraz na poczcie.

III. Kwiaty, psa czy kota oddać w pewne ręce.

IV. W ostatnim dniu jest dużo takich drobnych spraw do załatwienia, które się nie dadzą wcześniej wykonać, dlatego o ile możności nie brać bardzo wczesnego pociągu. Do tych ostatnich czynności w pierwszym rzędzie należy: zamknięcie gazu, odkręcenie żarówek lub stopek, powiadomienie gazowni i elektrowni, że gaz i światło nie będzie przez taki a taki czas używane.

V. Nie zalepiać okien zewnętrznych papierem; jest to „avis au voleur" mieszkanie wolne! O ile mieszkanie jest bardzo słoneczne i meble mogłyby ucierpieć, pozawieszać ciemnemi chusteczkami lub papierem drugie okna od wewnątrz.

VI. Podłogi wytrzeć na mokro, do każdego pokoju wstawić duże naczynie z wodą z odrobiną oliwy, jako przynętę na fruwające mole.

VII. O ile się całej pościeli nie zabiera ze sobą, przygotować czyste łóżka, lekko przykryte. Miło będzie po męczącej podróży powrotnej mieć gotowe łóżko do wypoczynku.

VIII. Nie pozostawiać żadnych resztek jedzenia i tłuszczów, zwabia to myszy i karakony. Drzwi spiżarki i kredensu zostawić uchylone, aby nie zatęchły.

IX. Na sitko w muszli wodociągu położyć kawałek sody lub wapna, które paraliżują wyziewy kanałowe.

X. Na każdy wypadek zostawić jako żelazny zapas: troszkę herbaty w puszce hermetycznie zamkniętej, o ile są dzieci, puszkę mleka kondensowanego, trochę czekolady, kilka sucharków szczelnie zamkniętych w szklanem naczyniu. Pozatem parę świec, pudełko zapałek, kawałek mydła i ręcznik — wszystko na widocznem miejscu. Gdy wszystko załatwione, schować klucze od kufrów, bilety podróżne, portfel z pieniędzmi i zapamiętać, gdzie się je dało, najlepiej nie robiąc z tego tajemnicy, aby ktoś drugi mógł ewentualnie przypomnieć. Znanem jest, jak te ważne przedmioty lubią znikać właśnie w tych chwilach, kiedy są najpotrzebniejsze. Powód — nerwy. To też zachować należy zimną krew, równowagę. Możemy spokojnie odetchnąć. Wszystko załatwione, rozpoczynamy urlop.

Sc. Ko.



HIGJENA SNU.

Najdoskonalszym sposobem wypoczynku dla każdego żyjącego ustroju jest sen. Ale sen jest czemś więcej aniżeli tylko wypoczynkiem. W przeciwnym razie wystarczyłoby nam jedynie oderwanie się od zajęć i trosk. Tymczasem bezsenność nas wyczerpuje, a sen pokrzepia.

Jak więc osiągnąć zdrowy sen? Przedewszystkiem usuńmy z obrębu świadomości zmartwienia i wogóle żywe zainteresowania z minionego dnia. Zostawmy mózg wolnemu kojarzeniu; niech nas myśli prowadzą. Poza tem zastosujmy przed snem mądrą dawkę zmęczenia fizycznego na świeżem powietrzu. Odnosi się to przedewszystkiem do osób, prowadzących siedzący tryb życia. Również ciepła kąpiel bezpośrednio przed snem, nie nadmiernie ogrzany i dobrze przewietrzony pokój, możliwie z dopływem świeżego powietrza (w lecie nawet przy otwartem oknie) grają bardzo ważną rolę. Po kąpieli umyjmy twarz w ciepłej wodzie przetłuszczonem mydłem, poczem nasmarujmy skórę kremem odpowiednim dla naszej cery (w tłustą skórę wetrzemy suchy krem i naodwrót), następnie wykonajmy automasaż twarzy. Również ważne będzie oczyszczenie jamy ustnej i zębów przed nocnym spoczynkiem. W czasie snu bowiem resztki pokarmów, pozostałe w ustach, byłyby doskonałą pożywką dla stałych jej mieszkańców — bakcyli. Najkorzystniej działa nieznaczny dodatek oczyszczonej sody (w proszku) do wody przeznaczonej do płukania ust, gdyż bakcyle te źle się czują w środowisku alkalicznem. Nadto słaby roztwór zapobiega tworzeniu się kamienia nazębnego. Wieczorem nie spożywajmy zbyt obfitego posiłku i to przynajmniej na 3—4 godzin przed zaśnięciem.

Posłanie nasze nie powinno być zbyt miękkie — najodpowiedniejsze będą materace. Śpijmy na prawym boku, gdyż spanie na lewej stronie utrudnia pracę serca, wskutek wywieranego na nie ucisku.

Podczas snu przyzwyczajajmy się do wyprostowywania dłoni. Od zaciskania jej przez całą noc w pięść tworzą się brzydkie zmarszczki i woreczki na stawach palców.

I pamiętając, że sen przed północą ma większą wartość i że człowiek stale niedosypiający starzeje się znacznie szybciej, kładźmy się wcześnie, a wraz z odzieniem odrzucajmy nasze troski i kłopoty, by sen był prawdziwym odpoczynkiem spracowanego układu nerwowego.

Mgr. O. W.



Dokończenie ze str. 5-tej.

Piękny model rakiety eksplodował i rozpadł się na drobne drzazgi.

Nielepiej powiodła się próba niemieckiego profesora Obertha. Ponawiał próby budowy rakiety wielokrotnie i za każdym razem rakieta eksplodowała. Potem przyszedł inżynier Oppel, popisujący się samochodem napędzanym motorem wybuchowym. Kilka prób udało się. Przy ostatniej konstruktor cudem ocalał z katastrofy.

Był także francuski uczony inż. Valier. Kilka małych modeli rakiet odbyło pomyślny start, ale na bardzo nieznaczną wysokość. Wreszcie większy model eksplodował. Ten sam los spotkał rakietę inżyniera Tillinga.

Ostatnią głośną próbą startu rakiety była próba inż. Zuckera, przeprowadzona w Cuxhaven. Rakieta po starcie z pochyłego pomostu uniosła się na wysokość 50 metrów, a następnie eksplodowała. Zawiodły próby wystrzelenia rakiety ponad kanałem La Manche. Kilka tylko było udatnych prób z bardzo małemi rakietami w Anglji i Ameryce.

Głos w tej chwili mają nie eksperymentatorzy, lecz fizycy i chemicy, a ci wydali w kwestji komunikacji międzyplanetarnej wyrok, brzmiący niezbyt zachęcająco. Przy pomocy dzisiejszych środków wybuchowych, przy skonstruowaniu nader precyzyjnej rakiety, moglibyśmy się wznieść tylko na wysokość 400 kilometrów.

Czemże jest ta odległość w porównaniu z trzystoma tysiącami kilometrów, dzielącemi ziemię od jej najbliższego sąsiada — księżyca?

Ale ten wyrok nie jest równoznaczny z całkowitą negacją rozwiązania problemu. Mówimy wszak, że wyżej ponad 400 km nie wzniesiemy się przy użyciu obecnych źródeł energji. Nie zapominajmy jednak, że w laboratorjach fizycznych i chemicznych wre nieustanna praca nad znalezieniem nowych, o wiele potężniejszych niż dzisiejsze, zasobów energetycznych. Ta praca idzie po linji rozbijania atomów i wyzwalania energji śródatomowej.

Może już jutro pozwoli na uruchomienie międzyplanetarnego statku, który powiezie śmiałków w kosmiczną przestrzeń.

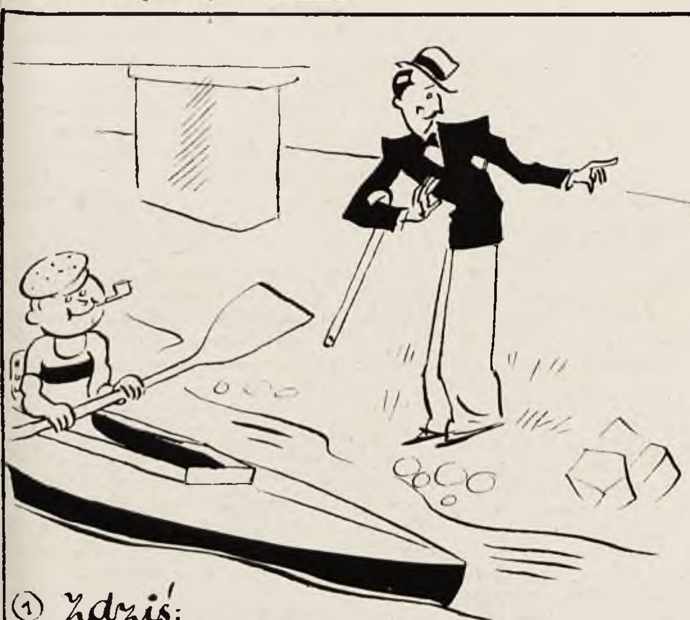
Sam.



MIŚ i ZDZIŚ

przygody dwóch młodzieńców

4. ZDZIŚ ZDOBYWCA UŚMIECHÓW

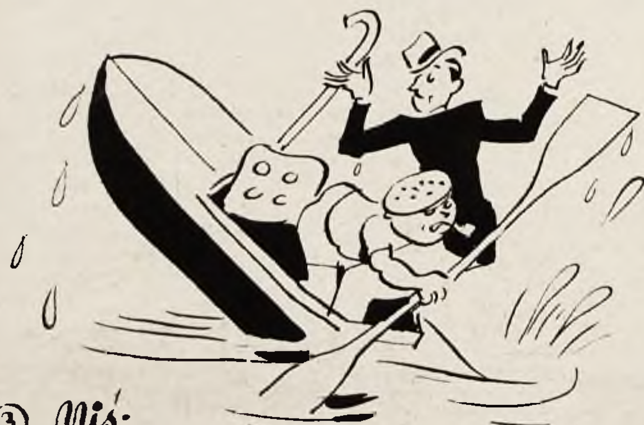


① **Zdziś:**
- MISIU, MUSZĘ ZDOBYĆ UŚMIECH TEJ PIĘKNEJ PANI... PATRZ, JAK JEJ DO TWARZY W TYM EFEKTOWNYM KAJAKU... JADĘ Z TOBĄ, AB BYĆ BLIŻEJ NIEJ...



② **Miś:**
NO TO SIADAJ... A NIE BOISZ SIĘ...?

Zdziś:
DO ODWAŻNYCH NALEŻY ŚWIAT!.. „PŁYŃ BARKO MOJA..."



③ **Miś:**
ZDZISIU, CO TY WYRABIASZ... TO NIE JEST ŁÓDŹ PODWODNA!..



④ **Zdziś:**
TERAZ NAPRAWDĘ ŻAŁUJĘ, ŻE NIE UCZYŁEM SIĘ PŁYWAĆ...



⑤ **Miś:**
NIE MARTW SIĘ ZDZISIU... CO MA WISIEĆ NIE UTONIE!..



⑥ **Miś:** WIDZISZ, ZWYCIĘŻYŁEŚ - UDAŁO CI SIĘ ZDOBYĆ UŚMIECH TEJ PIĘKNEJ BLONDYNKI!..

CHARLIE

To warto poznać...

NA SCENIE.

Ostatnie dni sezonu teatralnego **w Warszawie** są bardzo ciekawe. Teatry dają kilka premjer, które nietylko warto, ale trzeba poznać. Do tych przedewszystkiem należy **„Wyzwolenie" Wyspiańskiego,** które ukazuje się w Teatrze Polskim w nowem opracowaniu reżyserskiem, opartem jednak na tradycji pierwszych przedstawień krakowskich. Przedstawienie to jest równocześnie hołdem scen warszawskich dla Marszałka Piłsudskiego. Tak bowiem silnie zespolone są idee poety zawarte w „Wyzwoleniu", idee domagające się czynu, z ideą i czynem Józefa Piłsudskiego, że wystawienie „Wyzwolenia" jest najpiękniejszym hołdem teatralnym. Rolę Konrada gra w Warszawie Juljusz Osterwa, który niedawno wznowił „Wyzwolenie" na



Świetna artystka Mira Zimińska jako Panna Maliczewska w sztuce Zapolskiej.

scenie Teatru im. J. Słowackiego w Krakowie jako wyraz hołdu sceny krakowskiej dla Marszałka. Kreacja Osterwy jest wspaniała.

Teatr Aktora bardzo starannie przygotował komedję Moliera **„Chory z urojenia"**, w której spewnością nowy triumf artystyczny odniosą Stefan Jaracz i Mira Zimińska. Molier zawsze jest przemiły, a z takimi odtwórcami głównych ról będzie pewnie rozkoszny.

W Teatrze Małym graną jest obecnie komedja Brunona Winawera **„Obrona Keysowej"**. Jest to, jak stwierdza krytyka i opinja teatralna Warszawy, bardzo dobry żart sceniczny, w którym autor, z właściwym sobie humorem, dobrał się tym razem do przedstawicieli wymiaru sprawiedliwości. Cała komedja żyje konceptami, paradoksami, dowcipami i niejednokrotnie ostremi satyrycznemi akłuciami. Posiada doskonały akt pierwszy, ale brak sztuce pointy, brak zakończenia, któreby charakteryzowało sąd autora o przedstawicielach sądownictwa. Komedja ta, która swą treścią, nieodgrywającą zresztą w komedji głównej roli, przypomina sprawę Gorgonowej, graną była najpierw **we Lwowie.** Ale tam nie zdobyła powodzenia. W komedji bowiem wyśmiany jest prokurator, który oskarża tę Keysowa-Gorgonową, a zwycięża adwokat. To się naturalnie Lwowiakom podobać nie mogło.

W Warszawie zaś „Obrona Keysowej" ma powodzenie. Jest żywo wyreżyserowana przez Ziembińskiego i dobrze zagrana przez Gorczyńską, Stanisławskiego, Kurnakowicza i Grolickiego.

Teatr Polski w Poznaniu gra obecnie komedję wiedeńską, doskonale przerobioną przez Hemara, **„Muzyka na ulicy"**. Wskazywaliśmy tu na jej sukces w Warszawie. Taki sam zdobyła w Poznaniu, głównie dzięki grze Szaberta, Jaworskiego, Plucińskiego, Haneckiej i Niedziałkowskiej.

W bieżącym sezonie modny jest Niccodemi. Teatr im. **J. Słowackiego w Krakowie** niemal bezpośrednio po „Cieniu" wystawił **„Nauczycielkę"** z bardzo dobrymi wykonawcami ról głównych: Jaroszewską (rola tyt.), Wernicz, Bierowskim i Woźnikiem. **(swb).**

NOWE KSIĄŻKI.

Znana dziennikarka i literatka niemiecka, autorka wielu popularnych reportaży, pisanych i w Polsce, Elga Kern, wydała ostatnio powieściową monografję o matce Marszałka Piłsudskiego. Książka ta ukazała się w języku niemieckim i równocześnie w przekładzie polskim, nakładem Głównej Księgarni Wojskowej. „Marja Piłsudska — matka Marszałka" to przepiękna książka, która nas zajmie i wzruszy. Mówi nam o matce Wskrzesiciela i Budowniczego Polski, który — jak sam to wielokrotnie stwierdzał — po matce swej odziedziczył wszystkie psychiczne cechy, które mu matka wpajała, miłość Ojczyzny i żądzę walki o Jej wolność i wielkość. Książka Elgi Kern, która szerzy wielkość Marszałka i jego matki za granicami Państwa Polskiego, posiada również wysoką wartość artystyczną, a z podziwem należy wyrażać się o autorce, że tak świetnie potrafiła wczuć się w atmosferę polskiego dworku, w atmosferę polskiej rodziny, w której wyrastał młody Ziuk Piłsudski.

(swb).



„What a little Moonlight can do". To tytuł foxtrota (Woods) z filmu „Road House", który nagrany został ostatnio na polskiej płycie „His Master's Voice" — J. D. 23. Utwór ten gra Jack Jackson wraz ze swą orkiestrą. Foxtrot Woods'a w interpretacji Jackson'a wyróżnia się silnie akcentowaną rytmiką i doskonale śpiewanym refrenem przez zespół chóralny.

„The grasshopper and the ants" Foxtrot i „The wise little hen" — również foxtrot to dwie urocze wizje kolorowych komedyjek rysunkowych Walt Disney'a — w interpretacji bardzo dobrej i pomysłowej orkiestry Raymonda Paige. Obydwa foxtroty komponował Morey—Harline.

Ta muzyka — pozbawiona argumentów wzrokowych (jak to ma miejsce na ekranie) działa na nas swą niezwykłą barwnością i brawurą rytmów. Raymond Paige wraz ze swą orkiestrą nie zna żadnych trudności w naśladowaniu poszczególnych odgłosów a głosy zwierząt i ludzi przezabawne są zarazem pełne prawdy. Instrumentacja doskonała, a każdy nowy takt jest nową niespodzianką pełną werwy i humoru. „His Master's voice" J. D. 21.

Na płycie „His Master's voice" J. D. 22 — włoski chór Belmonta śpiewa dwie piosenki. Tytuł jednej brzmi: „Gui-gui" (Gambardella). Jest to łatwa, melodyjna piosenka włoska, której trzy zwrotki wykonuje chór wraz ze swym tenorem A. Cibelli, z temperamentem — nieomal z furją...

Na tej samej płycie, chór Belmonta śpiewa wiązankę włoskich piosenek ludowych. „Fioritura Italica", to drugi popis wspomnianego wyżej chóru. **(Jot).**



Niedziela, 9 czerwca 1935 r.

12.20: Poranek muzycz. W przerwie poranku o godz. 13.00: Teatr Wyobraźni nadaje fragmenty słuchowiskowe.
15.10: Utwory I. J. Paderewskiego.
16.45: Szkic literacki.
19.25: J. Brahms: Warjacje na temat Haydna.
22.20: Koncert symfoniczny.

Poniedziałek, 10 czerwca 1935 r.

12.03: „Egzotyczna kraina melancholji — Polesie".
17.00: VII-y koncert z cyklu „Pięć wieków muzyki kameralnej".
20.00: Koncert symfoniczny.
22.00: Wiadomości sportowe.

Wtorek, 11 czerwca 1935 r.

12.15: Utwory J. Brahmsa.
13.05: „Piosenki starej Warszawy".
18.10: „Minuta poezji".
21.00: Koncert symfoniczny.
22.00: Koncert Chóru Dana.
22.30: Wiadomości sportowe.

Środa, 12 czerwca 1935 r.

12.05: Dziennik południowy.
15.30: R. Schumann: Trio d-moll op. 63.
17.00: Koncert z Krakowa.
19.30 Pieśni R. Schumanna.
21.00: Koncert Chopinowski.
21.30: Feljeton literacki.
22.10: Koncert Małej Orkiestry Polsk. Radja.

Czwartek 13 czerwca 1935 r.

12.05: Audycja dla szkół.
15.30: Koncert z Krakowa.
18.00: „Książka i wiedza".
19.30: Recital organowy.
21.00: Koncert symfoniczny.
22.00: Wiadomości sportowe.
23.05: C. Saint-Saens: Koncert fortepianowy g-moll op. 22.

Piątek, 14 czerwca 1935 r.

15.36: P. Czajkowski: Symfonja D-dur Nr. 3.
17.00: VIII Koncert z cyklu „Pięć wieków muzyki kameralnej".
19.30: Recital fortepianowy.
20.55: „Obrazki z życia dawnej i współczesnej Polski".
21.00: Koncert Symfoniczny.
22.00: Wiadomości sportowe.
22.10: Mała Orkiestra.

Sobota, 15 czerwca 1935 r.

12.15: L. van Beethovena: Symfonja A-dur Nr. VII.
14.30: Nowości z płyt.
15.25: „Nasz handel morski".
16.50: Fragment z książki Józefa Conrada-Korzeniowskiego.
17.45: „Preludja Claude Debussy'ego.
18.45: Fr. Smetana: Weltawa poemat symfoniczny.
19.50: Pogadanka aktualna.
21.30: Koncert.
22.00: Wiadomości sportowe.
22.10: Audycja literacka.
22.30: Mała Orkiestra.